DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 118.] SOBOTA 18 KWIETNIA 1914. [Rocznie........ 10 K (4 Rb., 8 Mk.).
[Półrocznie... 5 K (2 Rb., 4 Mk.).
Cena egz. pojedyńcz. 50 h.

Pamiętnik dobrej lecz bardzo próżnej osoby.

(Roman Dmowski — Upadek myśli konserwatywnej w Polsce — Warszawa 1914, stron 200).

„Jeżeli nasz naród ma w swojem życiu w ciągu ostatniego dwudziestolecia momenty jakiejkolwiek historycznej doniosłości, to tę historyę zrobił przedewszystkiem kierunek demokratyczno-narodowy, on się okazał główną siłą twórczą w życiu politycznem narodu“ (str. 58).

„Dlatego to powiedzieliśmy raz już wyżej, że jeżeli w życiu naszego narodu ostatnich czasów mamy zjawiska historycznej doniosłości, to są one dziełem przedewszystkiem kierunku demokratyczno-narodowego“ (str. 75).

I t. d., i t. p., w odstępach co stron kilka lub kilkanaście.

A któż to pisze tak pięknie o demokracyi narodowej? Ona sama. To jest autohistorya. To są Imci pani Demokracyi Narodowej pamiętniki własne.

Książka, która się mieni książką o upadku myśli konserwatywnej w Polsce, nie jest nią, jest czemś innem, jest przedewszystkiem książką o chwale demokratyczno-narodowej myśli w Polsce.

Bo proszę tylko policzyć. Na 200 stron całej książki wytrzymała myśl demokratyczno-narodowa przy konserwatyźmie tylko przez stron 50. Dalej już nie mogła. Już musiała o sobie. Na stronie 51-ej poczęta jest demokracya narodowa: „Są to zadatki przyszłej Narodowej Demokracyi“ czytamy tam. Następny rozdział p. t. „Demokracya Narodowa“ jest o tem, jak się ona urodziła, dalszy p. t. „Niebezpieczeństwa polskiego bytu“ o tem jak je ona w kołysce dojrzała, z kolei p. t. „Zagadnienie patryotyzmu polskiego“, jak je w młodości rozwiązała, następny p. t. „Patryotyzm a trzeźwość“ o tem jak już poważnieć zaczęła, i tak przez pozostałych stron 150, czyli przez $^3/_4$ książki, już tylko o sobie. A jeśli zjawia się tam czasem także i konserwatyzm, to tylko jako repoussoir, paskudna stara maska, celem uwydatnienia wdzięków tej, o którą chodzi.

Nie jest to właściwie książka samego tylko p. Dmowskiego. On dał jej tylko swoją znakomitą zdolność pisarską. Dzięki prostocie i męskości stylu, szczerości słowa, jędrności określeń, bystrości myśli, wyższości ducha, jest p. Dmowski dzisiaj niewątpliwie jednym z najwybitniejszych naszych i najbardziej ujmujących pisarzy politycznych. Te zalety autora Myśli nowoczesnego Polaka, tak świetne w tamtej książce, wyryły się i na tych nowych kartach, zasiewając je mnóstwem uwag doskonale pomyślanych i wyraziście powiedzianych. Ale w tej książce dźwięcznym i mocnym głosem pisarza mówi Psyche zbiorowa, mówi ona sama: Demokracya Narodowa.

Mówi trochę o innych, dużo o sobie, i ukazuje się nam taka jak jest naprawdę, dobra sama w sobie, boć ona niczego złego nie chce, dobra szczególnie, gdy się pomyśli o niektórych jej rywalkach, dobra jednem słowem, ale jak próżna, jak bardzo i jak zabawnie próżna!

Cóż mówi ona o naszym konserwatyźmie? Mówi trochę z góry i mówi piąte przez dziesiąte, bo spieszno jej zacząć o sobie i jak zwykle w takich razach mówi rzeczy bardzo słuszne i bardzo zajmujące, a obok nich czasem bardzo powierzchowne i nawet gdzieniegdzie bardzo niesłuszne.

Rozprawiają się z tem już, i z niejednem rozprawiać się będą bez powodzenia, pisma konserwatywne, które mówią pro domo sua, ale i dla postronnych rzecz to nieobojętna.

Najlepszym może działem książki jest charakterystyka konserwatyzmu i obozu konserwatywnego w Królestwie.

Stara się p. Dmowski wykazać na str. 33—46, jak to właściwie konserwatyzm w Królestwie nie był zgoła samorzutnym wytworem obozu, który ten sztandar przyjął, ale narzuconą mieszaniną dwu zgoła sobie przeciwnych czynników, mianowicie przejętej z Krakowa przez pogranicznych ziemian z Kieleckiego i Radomskiego zasady ugody z rządem, jak tam z Austryą tak tu z Rosyą, oraz sprytnie wsączającego się w ziemiaństwo liberalizmu ugodowego, właściwie najzupełniej przeciwnego konserwatywnym pojęciom, stworzonego w Petersburgu przez grupę Spasowicza, przyczem, jak doskonale mówi p. Dmowski „mały stateczek petersburski holował sprawnie i ciągnął na swoje wody ciężką arkę konserwatyzmu polskiego w Królestwie“ tak, że kierującym ideowo czynnikiem stał się ów rządowy liberalizm petersburski.

Uwydatnienie tych dwu czynników, przeciw naturze połączonych, jest niewątpliwie słuszne, a jednak w takiem przedstawieniu powstania konserwatyzmu w Królestwie jest błąd, mianowicie błąd przez opuszczenie, bo był jeszcze trzeci czynnik i to miejscowy, znikąd niezapożyczony, który może trochę psuje konstrukcyę o przeszczepieniu z zewnątrz, ale który

był. Jest to Wielopolski i tradycya jego polityki. Koncepcya polityczna Wielopolskiego wobec Rosyi była polska, taksamo polska, jak koncepcya Gołuchowskiego wobec Austryi, mimo wszystko, co w wadach samego twórcy, w rozstroju społeczeństwa, w warunkach chwili, w drapieżności niespokojnej tamtego rządu, sprzysięgło się przeciw jej wykonaniu. I przecież po tym nieszczęśliwym olbrzymie musiało zostać w kraju jakieś wspomnienie! Ono też i zostało. Poprostu byli ludzie, którzy sobie powiedzieli, że tak jak Wielopolskiemu po r. 1831 powiodło się nawrócić choć trochę ku temu, co było w Królestwie Kongresowem, tak może i po r. 1863 nawrócić będzie można bodaj ku temu, co już miał i czego jeszcze spodziewał się Wielopolski. I chcieli tworzyć grupę ludzi w kraju, którzyby byli spadkobiercami koncepcyi Wielopolskiego, a zarazem byliby właśnie grupą a nie jednostką tylko. Czekali na swoją chwilę, starali się ją z obłoków ściągać na ziemię, chwytali nieraz próżnię, myśląc, że to już coś jest. Ile w tem było złudzeń, a ile zimnego z myślą o sprawie narodowej rachunku bez złudzeń, nawet, trudno nieraz dokładnie osądzić. Ale to pewna, że w powstaniu i istnieniu naszego konserwatyzmu w Królestwie te właśnie miejscowe tradycye polityki Wielopolskiego, a nie zapożyczenia z zewnątrz, były czynnikiem najgłębszym i najistotniejszym. Bo ostatecznie trudno z tych wszystkich konserwatystów Królestwa robić poprostu ludzi za słabych umysłów, jak dosłownie mówi p. Dmowski; trudno z Ludwików Górskich, Dobieckich, Suligowskich, robić półgłówków; trudno wmawiać w ludzi, że dalekie zapachy ugodowej biesiady z Krakowa i ślinka na liberalno-ugodową ucztę z Petersburga, wystarczały im jako polityczne pożywienie dla Królestwa. Oni myśleli przedewszystkiem o polityce Wielopolskiego i o przygotowywaniu gruntu pod wznowienie tej polityki. A w książce p. Dmowskiego o konserwatyźmie i jego powstaniu w Królestwie przepadł Wielopolski bez śladu. Szczególne zapomnienie, tak dziwne, że wręcz nieprawdopodobne. Może poprostu p. Dmowski już nie chce Wielopolskiego zostawić konserwatystom i gotuje się do procesu o spadek polityczny po nim na rzecz demokracyi narodowej? Takie wrażenie sprawia to milczenie, bo o zapomnieniu trudno myśleć. Tem bardziej, że im dłużej czytać całą tę książkę, tem uporczywiej prześladuje czytelnika widziadło jakby ręki wyciągającej się po spadek.

Ale prawda i to, że Wielopolski zapadł w trumnę przeszłości, Dobieccy i Suligowscy czekali i czekają na swą chwilę w przyszłości, a teraźniejszością najuchwytniejszą był zawsze i jest ciągle p. Piltz. I to odrazu przywodzi na myśl grube niedoskonałości tego konserwatyzmu w Królestwie. Nie wszystkie nawet wypomina p. Dmowski, bo wiele ich przestał uważać za niedoskonałości, ale w niektórych obrachunkach jest sprawiedliwie okrutny. Z dwu pierwiastków liberalno-ugodowej przymieszki petersburskiej, która najdotkliwiej zaszkodziła konserwatyzmowi w Królestwie, pomija p. Dmowski ugodowość, ale wykazuje doskonale, jak ten liberalizm wyłaził jak szydło z worka. A więc słusznie wypomina, że tylko dzięki swym skłonnościom liberalnym mógł ów petersburski Scriptor w dwu znanych oszczerczych książkach „podsuwać konserwatystom doktrynę, że kosmopolityczny socyalizm jest dla kraju mniej niebezpieczny od kierunków narodowej myśli“ (str. 96 i nast.), co istotnie prawdziwym konserwatystom na myśl by nie przyszło. Albo też przypomina, że gdy chodziło o ograniczenie praw żydów w samorządzie miejskim, konieczne ze względu na interes narodowy i społeczny, zjawiła się nagle u tych szczególnych konserwatystów zasada „moją religią równouprawnienie wszystkich obywateli“ (str. 142), zasada zaczerpnięta z wielkiej rewolucyi. I dlatego, gdy p. Dmowski powiada, że „możnaby cały świat schodzić i nigdzieby się wśród stronnictw politycznych nie spotkało takiego dziwoląga, jak nasze stronnictwo polityki realnej“ (str. 149), bo jest to „małżeństwo konserwatywno-liberalne, w którem liberalna żona wzięła dobrze pod pantofel konserwatywnego męża“ (str. 149), bezstronny czytelnik szczerze potakuje pisarzowi, bo tak jest rzeczywiście.

Mniej natomiast dokładnym i słusznym staje się sąd p. Dmowskiego, gdy chodzi o ocenę postępowania obozu konserwatywnego w tych razach, gdzie zależało ono nie tylko od niego samego, ale także od stronnictwa demokratyczno-narodowego. Jaskrawym przykładem jest przedstawienie wypadków w chwili ogłoszenia konstytucyi w Rosyi i pierwszych wyborów do Dumy. „Byłoby też bodaj najlepiej, gdyby weszła do przedstawicielstwa spora liczba ludzi ze stronnictwa polityki realnej, tych właśnie, co reprezentowali w niem żywioł obywatelski, ziemiański, względnie konserwatywny; wolni od spuścizny okresu rewolucyjnego mieliby oni więcej swobody we wprowadzeniu parlamentarnej polityki polskiej na drogę praktyczną, mogliby się nie krępować hasłami, które w kraju rozbrzmiewały szeroko i którym nie odrazu przeznaczone było ucichnąć“ (str. 111). Byłoby to najlepiej, mówi p. Dmowski, dodając, że kierownicy demokracyi narodowej wówczas w tym duchu pracowali. Ale cóż, trudno! „Okazało się, że realiści zbyt gorliwie pracowali byli na swą niepopularność, ażeby to się na nich nie pomściło“ (str. 112). Dlaczego p. Dmowski nie może się tu zdobyć na powiedzenie prawdy? Wszak trudno o gwałtowniejsze przekręcenie historyi niż w tem przedstawieniu. Demokracya narodowa wówczas postanowiła zgnieść konserwatystów. A jak? Oto poprostu łudziła społeczeństwo hasłem autonomii, jak później polityki państwowo-rekrutowej, jak jeszcze później hasłem neoslawizmu. Mówiono wówczas społeczeństwu: my lepsi jesteśmy, bo my chcemy autonomii, a oni nie chcą, bo są ugodowcami bez poczuć narodowych. I społeczeństwo dawało za to miły poklask. A realiści, którzy wówczas właśnie nazwali się realistami i rzeczywiście jeśli kiedy to wtedy byli realni, nie łudzili autonomią. I nie dostali poklasku. Demokracya narodowa tryumfowała i pyszniła się na całą Polskę, że ma wszystkie mandaty. To jest naga prawda.

Mimo tych niedokładności, zjawiających się tam, gdzie trzebaby przyznać, że i demokracya narodowa może czasem być winna, na co próżność jej nie pozwala, ocena konserwa-

tyzmu w Królestwie jest, naogół biorąc, najlepszą cząstką książki.

Wartość uwag, poświęconych konserwatyzmowi w zaborze austryackim, jest znacznie mniejsza. Zapewne nie z powodu słabszej znajomości rzeczy, boć p. Dmowski mógłby znać i zna z pewnością bardzo dobrze sprawy tego zaboru. Ale poprostu z powodu widocznego braku zastanowienia się, z powodu dziwnego upraszczania sobie zagadnień, z powodu już nie powierzchownego ale naogół naprawdę nawet płytkiego, wbrew zwyczajowi pisarza, ujęcia rzeczy.

Przez całą książkę (por. str. 155) przewija się to pojęcie, że konserwatyzm w zaborze austryackim to przedewszystkiem szkoła krakowska, a konserwatyści wschodniej części kraju to kupa lotnego piasku, bo tamci byli doskonale zorganizowani, a ci nie. Jest to pojęcie dosyć często pojawiające się, ale nawskróś błędne. Ta doskonała organizacya krakowska jest legendą, przeciw której sam obóz krakowski nie występuje, bo jest mu z nią do twarzy. Ale kto bliżej wejrzał w rzeczy, wie doskonale, że stronnictwo krakowskie nigdy żadnej organizacyi nie miało i to nawet było jedną z jego wad, tak jak naodwrót konserwatyści ze wschodu nie byli znowu takimi beznadziejnymi kozakami i umieli trzymać się razem, nie lepiej ale i nie gorzej jak tamci. Taksamo błędne jest obarczanie tylko grupy krakowskiej całą odpowiedzialnością za politykę konserwatywną w tym zaborze i całą jej zasługą lub przewiną. Twórcą i sprawcą koncepcyi politycznej przeprowadzonej w stosunku do państwa był Gołuchowski, który nie był ze szkoły krakowskiej. Ani jeden prezes Koła Polskiego w Wiedniu, w czasach kiedy prezesi byli kierownikami polityki naszej, przez lat czterdzieści, a mianowicie Grocholski, Jaworski, Dzieduszycki, Abrahamowicz, nie był z obozu krakowskiego. Szkoła krakowska, szkoła Teki Stańczyka, mając znakomitych myślicieli i pisarzy, mając Szujskiego, Tarnowskiego, Koźmiana, Popiela, Bobrzyńskiego, zasłynęła przedewszystkiem ujęciem i obroną idei i poglądów, czem zdobyła sobie oczywiście i słusznie dużo powagi i znaczenia, ale czynnych polityków kierujących dała o wiele mniej niż wschód, bo właściwie znakomitego na tem polu tylko jednego Dunajewskiego, podczas gdy n. p. Andrzej Potocki, podobnie jak Kazimierz Badeni, na swem kierowniczem stanowisku ani trochę nie byli blizsi konserwatystom zachodnim niż wschodnim, gdy zaś pokusiła się nakoniec o ujęcie w swe ręce niepodzielnego kierownictwa w polityce czynnej w osobie Bobrzyńskiego, nie podołała temu zadaniu. Jednem słowem szkoła krakowska była bardzo wybitną, znakomitą i zasłużoną częścią konserwatyzmu w zaborze austryackim, ale ani nie była nim całym ani nawet częścią przeważną. Być może, iż gdy ktoś chce w krótkiej drodze rozprawić się z całym tym konserwatyzmem, wygodniej jest utożsamić go niejako ze szkołą krakowską, zrobić z niej niemal jakąś sprawną i chytrą organizacyę czarnej ręki, a potem utopić ją i cały konserwatyzm w niektórych jej błędach, ale to jest tylko wygodne, a nie rzeczowe.

Jak powstała polska polityka stworzona przez konserwatystów w zaborze austryackim, to wyjaśnia p. Dmowski w sposób zaiste nieoczekiwany (str. 9):

„Rząd austryacki utrwalał stanowisko uprzywilejowane wielkich rodów magnackich, tworzył nową arystokracyę z bogatych posiadaczy, starał się te żywioły jak najbardziej zbliżyć do siebie, a oddalić od reszty społeczeństwa. Jeżeli zaś w stosunku do ogółu szlachty przez długi czas to mu się nie udawało, to zorganizowana przezeń rzeź 46 roku ostatecznie odebrała tej szlachcie wszelką skłonność do demokratycznych porywów“.

I odpowiednio do tego stworzenia przez rząd nie będzie to nawet konserwatyzm polski (str. 10):

„W takich to warunkach organizował się konserwatyzm w dzielnicy austryackiej, konserwatyzm austryacko-polski“.

Szkoda, że p. Dmowski, który umie myśleć i mówić poważnie, napisał te słowa, bo zastanowiwszy się nad tem, po białka oczu rumienić się będzie za pogląd, mniejsza już o to czy krzywdzący, ale przedewszystkiem płytki aż do prostactwa.

Niechże p. Dmowski odczyta sam spokojnie te dwa pierwsze swoje zdania po sobie następujące. W pierwszem powiada, czem rząd szlachtę zjednywał: uprzywilejowanem stanowiskiem. W drugim dodaje jakimi to przywilejami: rzezią szlachty 1846 roku. Takie dwa zdania po sobie rzadko się zdarzają.

Łamańce tego rodzaju powstają, gdy się gwałtem chce przedstawić coś inaczej niż było naprawdę.

A czemuż nie mówić tej prawdy, która nam wszystkim, jako narodowi, zaszczyt tylko przynosi? Ziemiaństwo polskie zaboru austryackiego, przez równych sto lat od zaboru, bo od r. 1772 do r. 1873 było tą warstwą społeczeństwa, która prowadziła walkę o polskość kraju z rządem austryackim. Wydzierając z łap nasłanych urzędników duszę owego cesarskiego chłopa, podniecając życie polskie w miastach, w których panoszyła się niemczyzna, ziemiaństwo było głównym zastępem walczącym. Dostało za to w r. 1846 rzeź szlachty. A jeszcze w r. 1861, w chwili nadania konstytucyi, rząd w statucie krajowym dał ziemianom $^1/_4$ mandatów sejmowych, a licząc na cesarskiego chłopa i na żydów w miastach, popierał w wyborach ciemne chłopstwo przeciw świadomej narodowo warstwie. Ale ostatecznie to właśnie ziemiaństwo doczekało chwili, w której przeprowadziło swą koncepcyę polityczną i zdobyło polskie rządy w kraju. Była to w naszych dziejach porozbiorowych zdobycz jedna z największych i niezmiernie doniosła dla całej Polski. Czy dlatego, że jeszcze nie istniała wówczas demokracya narodowa, której skroń możnaby za to uwieńczyć wawrzynem, trzeba już wogóle plwać na te karty naszych dziejów a z ludzi, którzy to zdziałali, dlatego że nie byli demokratami narodowymi, trzeba zrobić jakichś pachołków rządu zaborczego i jakichś konserwatystów nie polskich lecz austryacko-polskich?

Równie lekkomyślnie rzucone są inne ciężkie słowa, które mają dawać krótkie a zasadnicze określenia konserwatyzmu polskiego w tym zaborze, a więc „tłumienie myśli i ta-

mowanie postępu politycznego ludu“ (str. 11), „krzywdzenie innych warstw ludności“ (str. 12), „dochodziło nawet do tego, że księżom przeszkadzano nakłaniać lud z ambony do trzeźwości, ażeby uszczerbku nie doznała dająca dochody karczma“ (str. 20), co razem składa się na taki obraz obozu konserwatywnego, jakby on był bezmyślnym i zachłannym potworem.

A czyż p. Dmowski zastanowił się poważnie nad tem, co mówi, bo przecież to są sprawy poważne. Tłumiono myśl i postęp ludu, gdy Sejm z większością ziemiańską połowę budżetu dawał na szkolnictwo ludowe, zobowiązując do osobnych świadczeń szkolnych obszary dworskie. Krzywdzono lud, a nikt nie zdoła przytoczyć jednej choćby ustawy tego Sejmu, która miałaby służyć interesom większości ziemiańskiej a nie dobru ogólnemu. Gdy zaś p. Dmowski mówi w poważnej książce o podsycaniu przez szlachtę opilstwa wśród ludu, to już rzeczywiście jesteśmy na takim poziomie, jak gdy p. Stapiński na niedawnym wiecu swym krakowskim pokazywał szlachecki harap znaleziony w dworze w Moszczenicy.

Polityka konserwatywna w zaborze austryackim, zarówno odłamu zachodniego jak wschodniego, miała oczywiście duże niedomagania i ciężkie nieraz błędy, ale kto tę półwiekową pracę, nieraz bardzo niedoskonałą, ale uczciwą i wytrwałą, chce zamknąć w takich uproszczonych określeniach, ten nie bierze się do rzeczy poważnie.

Temi przesadnie zabójczemi określeniami zepsuł p. Dmowski nawet te uwagi swoje, gdzie było pole do bardzo słusznych zarzutów, mianowicie uwagi o rozkładzie, jakiemu ulegać począł obóz konserwatywny krakowski. Gdzie jak gdzie, ale w naszem piśmie zarzutów tych przeciw grupie krakowskiej nie kryło się pod korcem. Gdy jednak mówi się, że „partya sama sobie stała się celem“ (str. 19), to schodzi się z gruntu poważnego rozważania, bo stronnictwu temu pod ostatniem kierownictwem p. Bobrzyńskiego można zarzucić, że miało złą politykę polską, ale celem była sprawa publiczna, a nie jakieś korzyści postronne. Taksamo gdy się mówi, że „na gruncie innych dzielnic zajmuje partyę krakowską właściwie już nie sprawa polska ale interesy spokrewnionych partyj“, to znowu jest to tylko ciężka i bolesna obelga, która chybia celu, bo słusznie możnaby powiedzieć, że wogóle ogólno-polska myśl tego stronnictwa osłabła, ale mówić, że zajmują ją tylko spokrewnione partye za kordonami, a nie cały naród, jest poprostu dziecińskiem. Słuszne uwagi o rozstroju tego obozu, których nie brak w książce p. Dmowskiego, nadwątlone są temi przeholowaniami.

W osobnym rozdziale pyta p. Dmowski: dlaczego stronnictwo krakowskie, w pierwszym rzędzie tradycyami swemi do tego powołane, nie wystąpiło w czasie ostatnich zawikłań przeciw pewnej jakby powstańczej gotowości popierania Austryi bez dostatecznych upewnień? Odpowiedź mogłaby być taka: w znacznej mierze dla sprostowania zgubnego wrażenia, jakie wywoływało to, co się wówczas w obozie p. Dmowskiego pisało przeciw Austryi i co przez przeciwników naszych wyzyskiwane było jako skłanianie się narodu polskiego ku Rosyi.

Uwagi p. Dmowskiego o konserwatyźmie są niewątpliwie na czasie, bo wywołane są istotnemi i poważnemi niedomaganiami, jakie ujawniły się jaskrawo w tym obozie. Grupa t. zw. konserwatywna w Królestwie ma błąd organiczny, przymieszkę petersburskiego liberalizmu, który w postępowaniu politycznem objawia się skłonnościami przeciwnemi instynktowi narodowo-zachowawczemu: to uwydatnił p. Dmowski bardzo przekonywująco i z dużem zacięciem rozumowania, czasem nieco jednostronnem, tak że ostatecznie przychodzi na myśl, iż konserwatystom tym nie jest jednak tak całkiem pstro w głowie. Grupa konserwatywna krakowska uległa w ostatnich latach pewnemu zboczeniu i zeszła na bezdroża: w książce p. Dmowskiego zostało to oświetlone nie tak udatnie i nie tak przekonywująco jakby należało, gdyż, pragnąc za jednym zamachem pogrążyć wszystko co się od pół wieku zrobiło w tym kraju jeszcze bez udziału demokracyi narodowej, użył barw czarnych i zamazał światła i cienie, które dałyby były właściwy obraz. P. Dmowski i sam to trochę odczuwał: „Pismo to nie ma pretensyi do ścisłej przedmiotowości; jest ono właściwie polemiczne; nie jestem historykiem, jeno szermierzem swoich idei“, mówi w przedmowie, gdy przypatrzył się całości tego, co napisał. Jest to powiedziane szczerze, zgodnie z usposobieniem p. Dmowskiego, ale słuszne to nie jest. Publicystyka od historyi nie różni się tem, że historya ma dawać prawdę przedmiotową, a publicystyka nie. „Chcę czytelnika nie tylko powiadomić ale i przekonać“. Przekonać naprawdę można tylko przedmiotowem przedstawieniem rzeczy, a innem można chyba w błąd wprowadzić, ale nie przekonać.

A cóż mówi demokracya narodowa o sobie?

Mówi bardzo pochlebnie, jak świadczą przytoczone na samym wstępie zdania, głoszące że jeżeli u nas były w ostatnich czasach wypadki historycznej doniosłości, to tę historyę robiła ona, demokracya narodowa.

Chociaż taka nieskromność nastraja trochę gniewnie, trzeba się przezwyciężyć i zachować bezstronny sąd.

Kierunek demokratyczno-narodowy był niewątpliwie w rozwoju naszego życia politycznego zjawiskiem bardzo poważnem i bardzo dodatniem. W chwili, gdy zaczął on się kształtować, lat temu blizko trzydzieści, jak i w chwili, gdy zaczął szerzej występować, lat temu dwadzieścia lub piętnaście, czynił on zadość potrzebom bardzo istotnym i bardzo ważnym. We wszystkich ówczesnych grupach politycznych obozu narodowego tętno poczucia narodowego i łączności między trzema zaborami niewątpliwie bardzo osłabło. Obóz konserwatywny, jedyny poważny, postarzał się i w nowych warunkach, wśród wzrastającej agitacyi politycznej, nie był zdolen w polityce wewnętrznej nieść sztandar narodowy tam, gdzie niesiono hasła międzynarodowe, a zarazem w polityce zewnętrznej coraz bardziej paczył koncepcyę polityki lojalnej wobec państwa zaborczego, stosując ją tam, gdzie nie było warun-

ków po temu. Obóz postępowo-demokratyczny, opierający się głównie na żydach, żył nędznie hasłami gromkiemi ale zazwyczaj szkodliwemi lub obłudnemi, więcej zresztą krzycząc niż pracując. Powstające stronnictwa ludowe budowały na stanowej wyłączności chłopskiej i rozbijały solidarność narodową społeczeństwa. Grożnie nastawał międzynarodowy socyalizm, najzupełniej wówczas przyjaźniący się z rosyjskim, pruskim, austryackim i żydowskim, a otwarcie drwiący z uczuć narodowych w imię światowej rewolucyi społecznej. Pojawiający się nowy kierunek, obejmujący wszystkie trzy zabory, przeciwny uginaniu się przed rządami zaborczymi, stawiający interes narodowy ponad interesy i hasła stronnicze, niosący myśl narodową w warstwy ludowe, przychodził w porę i znalazł drogę do serc i do umysłów tak szybko i tak szeroko, ak żaden inny u nas kiedykolwiek. j

A następnie wszystkim tym zasadom, które stanowiły jego wartość i siłę życiową, zaczął kierunek ten, wszedłszy w politykę czynną, sprzeniewierzać się również tak szybko i tak gruntownie, jak mało który.

I ten właśnie rozwój bardzo szybki i coraz to nowe przekształcania się sprawiają, że wydać sąd ogólny o obozie demokratyczno-narodowym, dodatni czy ujemny, nie tylko jest trudno, ale wręcz niepodobna. Pierwiastki zdrowe i szlachetne, z których kierunek ten powstał, nie wygasły oczywiście i ciągle tam nurtują. Ludzie najzacniejsi i najdzielniejsi, którzy tam weszli i nie chcieli wyjść, zachowali zalety, jakie mieli. A do tych pierwiastków zdrowych dołączać się poczęły szybko niezdrowe i nawet brać często górę. Powstał tam chaos. Z żadnym obozem niema tylu niespodzianek co z demokratyczno-narodowym. To pójdą tak, że ręce się ku nim wyciągają. To znowu zrobią coś takiego, że tylko ręce załamywać. Są stronnictwa, co do których zawsze mniej więcej można być pewnym, że zrobią paskudztwo, są inne, co do których zawsze mniej więcej można być pewnym, że postąpią uczciwie, a co do demokracyi narodowej stałem jest tylko to, że zawsze jest się w niepewności, co też oni zrobią.

To też, gdy się czyta tę najnowszą i najobszerniejszą dotąd pochwałę własną demokracyi narodowej, co chwila wyrastają czytelnikowi przypomnienia, że to jednak inaczej bywało niż tam się mówi.

Spójrzmy przynajmniej na zasady podstawowe i najogólniejsze tego kierunku w haśle i potem w rzeczywistości.

Naprzód tedy ogólno-polski charakter czyli wszechpolskość kierunku demokratyczno-narodowego, o której czytamy w książce (str. 57):

„Kierunek demokratyczno-narodowy postawił sobie ambitny cel objęcia sprawy polskiej w całości, na całym obszarze narodu polskiego“.

I oto widzimy, że powstały w trzech zaborach stronnictwa demokratyczno-narodowe, trzy stronnictwa, które poza nazwą niewiele mają wspólnego. Stronnictwo zaboru austryackiego ma kłopot z ugodowością rosyjską i małą ludowością stronnictwa zaboru rosyjskiego, to znowu stronnictwo wstydzi się lojalności austryackiej i demagogii stronnictwa w zaborze austryackim, a stronnictwo zaboru pruskiego rumieni się raz za jedno raz za drugie i jak najmniej stara się je pokazywać swoim zwolennikom. Tak jest w chwilach zwykłych i w działalności ograniczonej do jednej dzielnicy. Ale w czasie ostatnich przejść międzynarodowych trzeba było mieć istotnie wspólny pogląd ogólno-polski. Otóż najsmutniejszy widok dawał wówczas obóz demokratyczno-narodowy. „Gazeta Warszawska“ waliła w Austrye, co uważano za umizgi ku Rosyi, „Słowo Polskie“ oświadczyło się po pewnych niejasnościach bardzo stanowczo za Austryą, a w „Kuryerze Poznańskim“ widoczne było, że klnie w duchu na jednych i drugich i wybiera z ich wielkiej polityki z każdej tylko to, do czego jako tako można się było przyznać. Rozłam w sprawie ogólno-polskiej polityki był tak głęboki, że przeszedł wszelkie oczekiwania i obawy.

Następnie ważną sprawą zasadniczą jest stosunek do państw i rządów zaborczych, o którym, rzecz ciekawa, w obecnej książce wogóle się zapomina tam, gdzie należałoby jednak coś wspomnieć, mianowicie w dziejach powstania kierunku (str. 53).

„Wszystko to zbliżało się do siebie pod wspólnem narodowem hasłem, wszystko skupiało się do walki przeciw kosmopolitycznej, wojowniczo-antynarodowej propagandzie partyi socyalistycznych“.

Pamiętamy jednak wszyscy, że kierunek ten skupiał się wcale nie przeciw socyalistom tylko i że daleko silniej brzmiało w nim hasło walki z ugodą i z t. zw. trójlojalizmem.

Dzisiaj p. Dmowski woli o tem nie wspominać, a gdy wspomina bardzo oględnie, to tylko jako o pewnem nieporozumieniu (str. 62):

„Poczucie tego niebezpieczeństwa (politycznej asymilacyi Polaków w trzech państwach) dało pierwsze główne rysy kierunkowi demokratyczno-narodowemu, rysy, które sprawiły, że jego konserwatywni czy pseudokonserwatywni przeciwnicy pojmowali go jako kontynuacyę praktyczną dawniejszych prądów polityki porozbiorowej i fałszywie oskarżali o dążenia powstańcze“.

Zapierają się. I zdaje im się, że tak będzie najlepiej. Bo zanim zaparli się w słowach, sprzeniewierzyli się w czynach. Tego co zrobili zmienić nie zdołają, więc starają się teraz zmienić to, co dawniej mówili, aby jakąś zgodę wprowadzić między słowami a czynami. To widzą i wiedzą już wszyscy, bo jest to jasne jak słońce, że wszystko, co kierunek demokratyczno-narodowy zarzucał dawnym ugodowcom w stosunku do rządu i państwa rosyjskiego, wszystko to sam następnie zrobił znacznie rozleglej i szkodliwiej. Od walki nieubłaganej z Rosyą i następnie od hasła autonomii Królestwa szalona jazda do polityki państwowo-rekrutowej i do neoslawizmu była najbardziej bodaj karkołomnym skrętem, jaki się dokonał w życiu naszych stronnictw.

I jest w książce tej niezrównana poprostu wzmianka, która ma prześlizgnąć myśl czytelnika ponad przepaścią między zarzutami sta-

wianymi ugodowcom, a własnymi potem czynami (str. 45—6):

„Właściwie hasło „wejście do środka państwa“ nie miało poważniejszej treści realnej, dopóki przekształcenie ustroju państwowego i powołanie do życia ogólno państwowego przedstawicielstwa ludności nie wprowadziło temsamem polityki naszej na teren państwa, nie zmusiło jej do ścierania się tam z wrogiemi nam dążeniami“.

Tylko, że polityka państwowo-rekrutowa i neoslawizm nie były żadnem ścieraniem się z wrogiem lecz raczej wcieraniem się tam, gdzie nie proszono, bo owo przekształcenie ustroju państwowego wcale nie zmieniło stosunku Rosyi do Polski, tak, że cała ta wielka polityka wisiała w powietrzu.

Dalszą podstawową zasadą była myśl państwowa polska, obejmująca także litewskie i ruskie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, o czem czytamy (str. 63):

„Na tym też gruncie kierunek demokratyczno-narodowy zmuszony był silnie przeciwstawić się utartym w szerokich kołach pojęciom, co mu zyskiwało ze strony przeciwników miano nacyonalizmu, a nawet hakatyzmu“.

W zaborze rosyjskim nowa polityka demokratyczno-narodowa załatwiła się niebawem z tem dawnem hasłem bardzo gruntownie. Na pierwszym bankiecie neosłowiańskim w Petersburgu w r. 1908, w smutnie pamiętnej mowie, p. Dmowski odstąpił Rosyi lekko Litwę i Ruś. Były to tylko słowa. Ale i słowem można grzeszyć. A takie słowa były wówczas podwójnie niebezpieczne. Naprzód dlatego, że słuchali ich ci Polacy na Litwie i Rusi, do których pukają dziś nowe prądy, mówiące im: dajcie pokój marzeniom, zespolcie się z ludem miejscowym, zostańcie jego szlachtą ruską i litewską, pogódźcie się z państwem rosyjskiem. Powtóre dlatego, że słuchali także neoslawiści rosyjscy z pod ciemnej gwiazdy, którzy sobie z tego wywnioskowali, jak p. Bobrinskij, że należy oddzielić od Królestwa ziemię Chełmską. I zaczęli robotę w tym duchu i doprowadzili ją do końca. Bądź co bądź lepiej było nie mówić.

Nie było to zaś wcale jakieś chwilowe uniesienie niezręczne mowcy. P. Dmowski na zimno utrwalił myśl tę po roku w książce „Rosya, Niemcy i Kwestya Polska“. Trzeba przypomnieć, że kilka lat przedtem w „Egoiźmie Narodowym“ p. Balickiego i w „Myślach nowoczesnego Polaka“ p. Dmowskiego wykazywano, iż naród żywy musi mieć pewną ekspanzyę, a już żadną miarą nie może zrzekać się małodusznie stanowisk, do których dotarł. Nagle zleciało się z pieca na łeb w naukę wprost przeciwną. A przecież walka Polski z Rosyą (zachodu ze wschodem) o te ziemie trwa od w. XVI-tego na dobre, bywało lepiej, bywało gorzej, ale tak z dnia na dzień stawiać krzyżyk na pracy wieków, to nie jest poważne.

Co do sprawy ruskiej w zaborze austryackim czytamy (str. 182):

„Jeżeli dziś uświadomienie i organizacya ludności polskiej we wschodniej Galicyi zrobiły pewne postępy, to jest to dziełem stronnictwa demokratyczno-narodowego, a pierwszym wybitnym organizatorem tego dzieła był właśnie Stanisław Głąbiński, który od działalności na tem polu zaczął swoją istotnie polską i po obywatelsku pojętą karyerę polityczną. I trzeba to zrozumieć, że posunięciu naprzód tego dzieła pomogła ogromnie rzetelna praca duchowieństwa łacińskiego w Galicyi wschodniej. Nie należy również zapominać, że przez krótki okres rozwinął w tym kierunku żywą działalność jeden z przedstawicieli konserwatyzmu wschodnio-galicyjskiego, Włodzimierz Kozłowski, który wszakże w swych zamierzeniach nie doznał poparcia ze strony kierowników politycznych kraju“.

Ustęp ten jest dobrą próbką publicystyki demokratyczno-narodowej. Naprzód krótko i węzłowato wszystko jest „dziełem stronnictwa demokratyczno-narodowego“. Ale coś jednak niepokoi, że tak nie można. Więc na przyczepkę dodaje się duchowieństwo zapomocą owego „i trzeba to zrozumieć“ (niby kto ma to zrozumieć?). Wreszcie „nie należy również zapominać“ o „zamierzeniach“ p. Kozłowskiego „przez krótki okres“. A po prawdzie to było tak. Duchowieństwo pracowało i budowało kaplice od paru dziesiątek lat a szczególnie od czasu gdy na stolicy arcybiskupiej lwowskiej zasiadł ks. Bilczewski. P. Kozłowski stworzył pierwsze organizacye narodowe na wschodzie w r. 1902, przy pomocy ziemiaństwa, jako prezes Komitetu Centralnego, przekształconego następnie w Radę Narodową, która dalej tę pracę prowadziła. A dopiero w r. 1905 zaczynają się organizacye wiejskie demokratyczno-narodowe na wschodzie, które po dziś dzień są tylko częścią tej pracy. Ale gdyby się tak poprostu powiedziało jak było i jak jest, możnaby powiedzieć tylko to, że demokracya narodowa wzięła bardzo poważny udział w tej pracy, chodziło zaś o powiedzenie, że jest to jej dzieło.

Co więcej, chociaż powszechnie sądzono, że w sprawie ruskiej można na demokracyę narodową liczyć na pewne, okazało się w smutnych doświadczeniach, że nie zawsze tak jest. Gdy jej to dogadzało w r. 1908 usunęła się z Rady Narodowej i pokazała drogę innym stronnictwom do rozbijania tej instytucyi solidarności narodowej. W czasie, gdy stronnictwo demokratyczno-narodowe było u kierownictwa Koła Polskiego w Wiedniu, dopuściło ono w r. 1909 do podziału narodowego subwencyj traktatowych, co było pierwszym wypadkiem rozdziału w administracyi. W sprawie reformy wyborczej, stanąwszy z początku z Klubem Środka i Klubem Autonomistów do obrony zasadniczych spraw jak niedopuszczenia kuryi narodowej i innych, ostatecznie w listopadzie 1913 demokracya narodowa opuściła tamte grupy i zgodziła się na te ustępstwa. Nadto w poglądach swych zeszła się z Rusinami co do popierania katastru narodowego, który jest podstawą rozdziału, a zarazem wprowadza po stronie polskiej walki stronnicze na ziemi, na której konieczna jest solidarność. Więc i polityka ruska stronnictwa demokratyczno-narodowego nieraz bardzo zawiodła, chociaż naogół zasługi jej na tem polu są duże i niewątpliwe.

Do zasadniczych podstaw kierunku demokratyczno-narodowego należy także praca ludowa, o której czytamy (str. 64):

„Największą siłą kierunku demokratyczno-narodowego stanowiło to, że jego myśl zwracała się przedewszystkiem na wewnątrz narodu a jego wysiłki ku pracy w narodzie“.

Ale tu odrazu odzywa się przypomnienie, że w zaborze rosyjskim, po ogłoszeniu konstytucyi, nagle, jak ręką odciął, stronnictwo demokratyczno-narodowe zaniechało tej najpiękniejszej swej pracy ludowej dla kombinacyj parlamentarnych i państwowych w Dumie.

Czytamy zarazem (str. 67):

„Wbrew stanowisku konserwatystów poszli (n. d.) z pracą do tego ludu i wbrew socyalistom i ludowcom poszli do włościan jako do współobywateli-Polaków, mających te same co wszyscy inni obowiązki względem narodu, nie grali na niższych instynktach, nie budowali programu klasowego na podstawie odwiecznych antagonizmów i nienawiści stanowych“.

Znowu przypomina się, że w robocie ludowej stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze austryackim był okres, szczególnie w r. 1908 i 1909, kiedy przeciw kandydatom Rady Narodowej wysuwano innych pod hasłem: chłopi wybierajcie chłopa, a „Ojczyzna“ w rozpalaniu nienawiści ku obszarnikom podobna była do „Przyjaciela Ludu“, co było dowodem, że i ta zasada może być chwiejną w chwili potemu.

Wreszcie dalszą zasadą kierunku było uwalnianie życia narodowego od wpływów żydowskich w dziedzinie gospodarczej, myślowej i politycznej, co w książce obecnej rozwinięte jest w wielu miejscach (str. 71 i t. d.) a ujęte najogólniej w przedmowie:

„Pod względem dążeń zasadniczych dzisiejsze społeczeństwo polskie coraz wyraźniej rozdziela się na dwa obozy, stojące przeciw sobie: na obóz narodowy, dla którego najwyższą ideą jest dobro narodu, a pierwszem zadaniem politycznem obrona tego dobra na wszelkich stanowiskach i praca nad pomyślnym rozwojem narodu jako spójnej całości moralnej; i stojąca przeciw temu obozowi koalicya różnorodnych kierunków, mniej lub więcej świadomie stawiających ponad dobro narodu rozmaite oderwane pryncypia lub interesy partykularne, mniej lub więcej wyraźnie popierane przez silnych i wpływowych w naszym kraju żydów. Rozdział na te dwa główne obozy staje się coraz widoczniejszym. Wszelkie inne podziały zaczynają mieć znaczenie podrzędne“.

Nasuwa się tu wspomnienie, że wprawdzie dobro narodu dobrem narodu, ale w odpowiedniej chwili, gdy tą właśnie drogą można było dorwać się władzy, stronnictwo demokratyczno-narodowe w zaborze austryackim zawarło t. zw. unię demokratyczną z demokracyą żydowską i pociesznie mizdrzyło się przez pewien czas do tej sojuszniczki w imię wspólnych ideałów, spisanych nawet w styczniu 1908 we wspólny program.

Więc i w tej dziedzinie niespodzianki są możliwe.

W zaborze rosyjskim wzięło się obecnie stronnictwo demokratyczno-narodowe do gruntownej walki z żydami, którzy stali się wrogami zaciekłymi naszego bytu narodowego. Praca ta sama przez się jest stanowczo pożyteczna i doniosła. W sposobach prowadzenia jej mogą razić niedoskonałości i wybujałości, ale to są ostatecznie rysy, zjawiające się w każdej ostrej rozprawie tego rodzaju. Główną rzeczą jest, że rozprawa ta była konieczną i idzie w kierunku dodatnim dla skrzepienia sił narodowych.

Mniej słuszne jest natomiast to, że w walce z żydami widzi dzisiaj stronnictwo demokratyczno-narodowe główny cel polityki narodowej. Przesłania nią społeczeństwu niebezpieczeństwo rosyjskie, które przecież nie tylko nie przestało istnieć, ale nawet się wzmogło. Ta jednostronność i zwężenie programu politycznego zaszkodzi zresztą mniej ogółowi społeczeństwa niż samemu stronnictwu. Bo społeczeństwo musi szukać i szuka gdzieindziej szerszej myśli politycznej i organizacyi przeciw obecnemu naporowi rosyjskiemu na Polskę przy pomocy ogólno-państwowej konstytucyi, na co stronnictwo demokratyczno-narodowe nie chce zwracać uwagi.

Zmienność zasad podstawowych, ciągłe odstępstwa od głoszonych wskazań i przyjmowanie innych, bezprzykładna szybkość przekształceń i przerzuceń jest tak widoczna, że demokracya narodowa nie może jej ukrywać.

Musi ją zatem wyjaśnić, oczywiście tak, aby i to nawet poczytane było za coś zdrowego i zaszczytnego, a więc wyjaśnia zapomocą teoryi ciągłej ewolucyi, w słowach, które są szczerze zabawne (str. 61):

„I to jest właśnie najwyższym przymiotem kierunku demokratyczno-narodowego, że nigdy on sobie nie powiedział, iż wie wszystko dostatecznie, że ciągle szukał, ciągle swoje pojęcia sprawdzał i poprawiał, wskutek tego program polityczny obozu znajdował się w ciągłej ewolucyi... Śmiało mówimy, że może nie ma nigdzie politycznego stronnictwa, któreby w takim stopniu uchroniło się od jednostronności, od skostnienia myśli...“.

A jednak, jak widzimy, jest coś co skostniało w demokracyi narodowej: błogie zadowolenie z siebie samej w każdej nowej sukience zmienionych przekonań i to niczem niezamącone przeświadczenie, że gdy dzisiaj robi ona to, co wczoraj potępiała i jutro znowu będzie potępiać, jednak zawsze to, co ona robi, jest najpiękniejsze i najmądrzejsze.

Ostatnią książkę demokratyczno-narodową zamyka się z tem przekonaniem, że takiego pomnika samochwalstwa politycznego jeszcze w naszem piśmiennictwie nie było.

Pisano o sprawach, wyrażano swoje poglądy na nie, broniono ich namiętnie, ale żeby jakaś poważna grupa polityczna tak sobie samej waliła pokłony jednym ciągiem, kartka po kartce, to jest niewątpliwie czemś nowem.

Oto poprostu demokracya narodowa od lat dwudziestu robi historyę polską, a wszyscy inni w Polsce tylko jej w tem dziele przeszkadzają, jedni świadomie, gdy są grupami nienarodowemi, inni nieświadomie, gdy naiwnie sądzą, że i oni służą sprawie narodowej: taki jest pogląd demokracyi narodowej na nasze życie w chwili obecnej.

Niełądnie jest być tak próżną. Nawet trochę to jest śmiesznie. Szczególnie, gdy ludzie pamiętają to i owo, patrzyli na kiepskie stąpnięcia, niezaszczytne koziołki, żałosne upadki. Naprawdę nie ma powodu do takiej nadętości. Trzeba trochę zastanowić się nad tem, czy rzeczywiście jest się tym wykwitem wszystkiego, co w społeczeństwie jest dobre, a reszta to kąkol i plewy. Z samego już szacunku dla własnego narodu powinno się nasunąć choćby czasem, choćby przelotnie, przypuszczenie, że gdyby miał on tylko demokracyę narodową, toby mu to może nie wystarczyło. Taki naród to spory ustrój. Muszą chyba w nim być obok gorszych także i niegorsze i niemniejsze od demokracyi narodowej czynniki.

Racławice.

Insurekcya roku 1794 była pierwowzorem wszystkich powstań naszych. W niej odzwierciedliły się cechy znamienne odtąd dla każdego z ruchów zbrojnych Polski porozbiorowej. Więc najszczytniejsze głosiła hasła: niepodległość narodu, jedność historyczną ziem Rzeczypospolitej, sprawiedliwość społeczną. Powoływała lud do współudziału w walce o oswobodzenie ojczyzny. Dała początek całej ideologii pokoleń pogrobowych. — Niemniej w mniemaniu spółczesnych, ludzi wychowanych w realiźmie XVIII wieku, jak wobec badań naukowych, klęską była najstraszniejszą, głęboko nas upokarzającą. I niewątpliwie odsłoniła niedojrzałość, słabość i niedołęstwo ówczesnych Polaków w stopniu nierównie wyższym niżli ujawniła ich cnotę publiczną.

Otóż przedewszystkiem, jak to miało miejsce i później, istniała sprzeczność między inicyatorami a przyszłymi kierownikami ruchu. Zdaniem Zajączka (Historya rewolucyi... przekładu H. Kołłątaja — Poznań 1622, str. 70—1) spiskowi „pragnęli jak najprędzej wojny, a nigdy jej nie tocząc, ani się pilnie nad jej obrotami zastanawiając, rozumieli, iż do pomyślnego jej prowadzenia dosyć jest zacząć“. Nadto położenie ich było nader krytycznem, „otoczeni szpiegami każdą zwłokę uważali jako krok nowem grożący niebezpieczeństwem“. Zaś przeciwnie doświadczeńszych politycznie członków stronnictwa „patryotycznego“, których zwycięstwo targowicy wygnało z kraju, projekt insurekcyi „uderzył mocno“, „widzieli albowiem nader wielkie trudności“ i prawie „niepodobieństwo uskutecznienia“. „Znali swój naród i sami przed sobą tego nie taili, że Polacy utraciwszy dziką odwagę dawnych Sarmatów, nie nabyli na to miejsce wiadomości od sztuki wojowania nieoddzielnych... Nadto powstanie Polaków ciągnęło za sobą konieczne połączenie sił moskiewskich z pruskiemi, a w tak nierównej walce jakże sobie można było szczęśliwie obiecywać powodzenie, ale z drugiej strony zachęcali się uwagą, że Polska nad to, co straciła, już nic więcej stracić nie mogła i że jej stan był stanem rozpaczy,.... że jeżeliby ten dzielny czyn niemógł uratować Polski, przynajmniej ostatnie jej chwile uszlachetni... Do uwag tych przyłączyło się jeszcze zastanowienie nad wielkiemi wypadkami z powszechnego powstania włościan wyniknąć mogącemi... lubo... nie mieli oczywistych dowodów na poparcie swego przedsięwzięcia“.....

Zatem i dziwić się nie można, że ci, na których miała spocząć odpowiedzialność dziejowa, wahali się z przystąpieniem do czynu. Kołłątaj obawiał się, żeby się znowu nie zrobiła „jaka licha Barszczyzna na ostatnie kraju nieszczęście“. Tomasza Wawrzeckiego zapewniać będzie, (W. Tokarz: Ostatnie lata Kołłątaja dodatek do tomu II-go) co prawda już po Maciejowicach, że, gdyby nie jakieś wyrachowania na pomoc zagraniczną, głównie od Francyi rewolucyjnej, „dobrze myślący nie ośmieliliby przykładać się do insurekcyi, nie chcąc przez tak gwałtowny wypadek narazić reszty kraju na ostatnie niebezpieczeństwo“. Kościuszko nie chciał zaczynać „kozaczyzny“, mimo zarzutów oziębłości naczelnictwo swoje czynił zależnem od przygotowań, wzbraniał się na błahych podstawach opierać dzieło powstania narodowego. Bo szmat ziemi pozostały po drugim rozbiorze nie miał może warunków życia w tej postaci, jak go nie miało i Księstwo Warszawskie, a jednak zachowując imię Polski, jej byt państwowy, obie stolice, Litwę, Żmudź i Kurlandyę czyżby nie stał się szeroką podwaliną odbudowy. Polska jakakolwiekbądź byłaby weszła we wszelkie układy polityczne a wszak Europa wstępowała w okres największych przewrotów. Wcześniejby może i pewniej stanął Napoleon nad Wisłą i Niemnem, a zresztą car Paweł i Aleksander I nie żywili w stosunku do Polaków zamiarów zaborczych. Przeto ocalić chociażby bezkształtny pas z dawnych Rzeczypospolitej posiadłości, „przeczekać Katarzynę“, mimo prowokacyi despotyzmu Igelstroma nie dać się pchnąć do beznadziejnego starcia, — to było poprzez pozory i prawdę zupełnego upodlenia jakąś myślą polityczną.

Toteż po ostatecznym Polski rozbiorze przywódcy powstania uważali za swój obowiązek usprawiedliwiać się: „Dzieło to — pisał Zajączek — było płodem burzliwej młodzieży nie mogącej zcierpieć obcego jarzma i rozpaczy wojska mającego być rozpuszczonem. Potocki i Kołłątaj zatrudniali się wprawdzie w czasie swego wygnania sposobami podźwignienia Polski, ale oczekiwali przyjaznych do tego okoliczności. Zamiast cieszenia się zawczesnem wybuchnieniem rewolucyi, smucili się owszem; a jeżeli stanęli pod chorągwią ojczyzny, to dlatego, że już podniesioną została i że bezczynność w takim razie za zbrodnię poczytywali“. A podobnie i sam ksiądz podkanclerzy jeszcze w czasie trwania insurekcyi określił jej początki w związku najściślejszym z rozpuszczeniem części żołnierzy w myśl redukcyi uchwalonej na sejmie grodzieńskim: „W wojsku nastąpiło największe pomieszanie i żal. Jedni uczuli stratę, z swego do życia sposobu, drudzy spostrzegli, jak daleko okryci będą wstydem i hańbą. Na miejsce więc układów porządnych nastąpiła rozpacz. Zdawało się, że mimo wszystkie zakazy, mimo bojaźni, wyciągali ręce jedni do drugich, i nie oglądając się na żadne choćby też najsmutniejsze wypadki, oczekiwali tylko, kto pierwszy ma zacząć“.

Może i nie było ogólnego działań insurekcyjnych planu. Istniały przecież niewątpli-

wie pewne wytyczne ruchu, jak rozpoczęcie od oswobodzenia Warszawy albo ograniczenia się do walki z jednym z wrogów albo wyrachowania na pomoc Francyi i Turcyi. Te naczelne polityki powstańczej wskazania zniweczone zostały nagłością wybuchu. W pierwszej połowie marca na skutek rozbicia spisku stołecznego brygada Madalińskiego obróciła się ku Krakowu naruszając nowe Fryderyka Wilhelma II posiadłości. W czas ostrzeżeni Prusacy wzmocnili się w miastach Wielkopolski, Igelström ściągnął załogę. Wojna narodu o niepodległość nie tylko u samego wstępu zdała się buntem cząstki zagrożonego w bycie swym żołnierza, ale i w ciągu całego miesiąca nikłem tlała zarzewiem. Nie łączono się z oddziałem, który od Ostrołęki przerzynał się ku województwom małopolskim. Akt powstania obywateli ziemi krakowskiej nie znajdował odgłosu. Naprózno Kościuszko starał się ująć kierownictwo sprawy. Upływały tygodnie, pierwsze, najcenniejsze rewolucyjnych poczynań chwile, w bezpłodności słabych tak strategicznie jak organizacyjnie czynów. Wtedy jednak urosła ta legenda, która miała potężnie oddziałać na dalszy bieg zdarzeń i która nawet w odległych, dzisiejszych pokoleń dusze wlewa cudowną moc wiary w życie.

Jakże błędną jest ta legenda w szczegółach a jak bardzo prawdziwą w najistotniejszej swej treści. Każe Naczelnikowi wydać wojnę trzem mocarzom, którzy Polskę rozdarli. Nie to, że unikał wszelkiego starcia z Austryakami, chociaż Galicya tchnęła duchem patryotycznym. I nie to, że realnie ujmując zadania walki o niepodległość szukać będzie porozumienia z posłem pruskim w Warszawie pisząc zaraz w pierwszym liście do Zakrzewskiego, prezydenta oswobodzonej stolicy: „Obowiązuję samego Ciebie, abyś pod największym sekretem insinuował Buchholtzowi, aby dał Dwór jego pokój naszym granicom, a my go ruszać nie będziemy, y powiedz mu, iż tylko wojna Jemu wydana dla polityki“. Nie to. Alboż nie wysunęły się pod Szczekocinami głębokie kolumny pruskie, alboż Austryacy nie opanowali Lubelskiego. W koniecznem następstwie wybuchu powstania zacieśniły się węzły łączące państwa rozbiorowe i, jakiekolwiek były zamiary rewolucyjnej dyplomacyi, walka toczyła się o całość Rzeczypospolitej. Podobnie i błędną i prawdziwą zarazem jest legenda zwycięstwa pod Racławicami. *A. M. S.*

Społeczeństwo i Szkoła.

„Taką będzie Rzeczpospolita, jakich zdoła wykształcić sobie synów“.
Staszic: *Uwagi nad życiem J. Zamoyskiego.*

Niejednokrotnie słyszałem opinię, iż szkoła jest taka, jakie społeczeństwo. Jeśli zdanie to może mieć wiele racyi w krajach samoistnych, to bardzo małą cząstkę słuszności trzeba mu przyznać w krajach wolności politycznej pozbawionych, gdyż one albo wcale nie mają prawa, albo w małym tylko stopniu mogą szkolnictwo swe organizować samodzielnie. Ale nawet i w krajach niezależnych niezawsze społeczeństwo szkoły organizuje. Albowiem rząd stara się je opanować i pod swój wpływ wciągnąć, widząc w tych instytucyach nie byle jaki środek propagandy na swoją korzyść, uznając je za instytucye urabiające młodzież na modłę twórców szkoły. To też nadają jej oni bardzo ciasne szablonowe ramki, gdzie każdą sprawę załatwiać należy podług przepisu z góry narzuconego, lecz nie na miejscu przez potrzeby życiowe wytworzonego.

Nie można się dziwić, iż takie formalne traktowanie tworzącego się człowieka, takie spędzanie pod jeden strychulec żyjących organizmów, takie wtłaczanie przyszłych obywateli w ciasne koszarowe formy nie mające nic zgoła z potrzeb czasu i naturalnego rozwoju, nie może zaspokajać pedagogów a nawet wogóle ludzi myślących, którzy przez wychowanie dążą do pielęgnowania i rozwinięcia dobrych skłonności dziecka, a zacierania i tłumienia złych, przez usuwanie pola do ich egzercycyi.

Dlatego też tam, gdzie społeczeństwo zdaje sobie sprawę z wartości i ważności szkoły, stara się ono samo wytwarzać tego rodzaju instytucye, by przez nie mieć wpływ wyraźny na czynniki kształtujące rozwijającą się duszę młodzieży, która ma się stać ostoją dalszego rozwoju społeczeństwa.

Szkolnictwo prywatne niezależne od nakazów i ram urobionych z góry, tem większą rolę odgrywa, tem więcej jest rozpowszechnione, im wyżej stoi społeczeństwo pod względem kultury, bo szkolnictwo prywatne najczęściej bywa przodujące. Tak się mają rzeczy w Anglii i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Jeżeli więc w krajach wolnych społeczeństwa bardziej rozwinięte dają przewagę szkołom prywatnym, jako kierowanym przez czynniki więcej wartości mające, niż nakazy i formułki rządów, to cóż mówić o krajach podbitych, gdzie szkolnictwo organizują władze nie tylko nieprzychylnie, ale wręcz wrogo usposobione względem tego społeczeństwa, dla którego przyszłych obywateli mają urabiać. Czy nie wydaje się czemś wprost nienaturalnem, by młodzież i dzieci nasze oddane były na wychowanie w szkołach wrogowi.

To też straszną tragedyą bytu naszego narodowego był fakt, żeśmy mogli się kształcić tylko w szkołach organizowanych i kierowanych przez wroga w ciągu lat z górą 40-tu. A tragedyi tej owoce będziemy jeszcze długo w sobie jako truciznę trawili, dopóki jej nie wyrzucimy z organizmu. Może właśnie rezultatem tej bolącej tragedyi dziejowej jest ta nasza niepewność, to nasze wahanie w oddaniu pierwszeństwa szkole swojskiej przed szkołą obcą, ale dającą tak zwane prawa.

Timeo Danaos et dona ferentes. Nie można być nigdy dość ostrożnym w przyjmowaniu darów od wroga idących, tem bardziej, gdy dary te mają dążyć do zorganizowania czynników natury wychowawczej.

Takie poczucie i takie przeświadczenie wyłoniło się i utrwaliło odrazu wówczas, gdy zaszła potrzeba decyzyi, jak organizować szkolnictwo po utracie politycznej samodzielności kraju.

Tak rozumiał to T. Czacki, gdy znajdował środki do wykonania swych planów oświato-

wych w pozwoleniu cesarza Aleksandra I do zbierania składek publicznych. Nie układał on wcale petycyi do rządu, nie chodziło mu o to, ażeby wyprosić, wyżebrać od władz centralnych „środki na to, co jest potrzebne do podniesienia poziomu całego społeczeństwa i wychowania generacyi późniejszej", bo środki do postawienia szkół widział i znajdował w poczuciu obywatelskiem i ofiarności, na której się nie pomylił. (Cytowane ze Szczepanowskiego „O polskich tradycyach w wychowaniu". Lwów r. 1912 str. 87 i 116 oraz 118 i 119).

Tak myślał i Kołłątaj, główny doradca Czackiego, gdy w korespondencyi swej notuje: „Szkolnictwo ludowe, gdyby było wykonane na podstawie ustawy cesarstwa rosyjskiego, byłoby bronią przeciwko naszemu społeczeństwu, byłoby organizacyą zupełnie leżącą poza obrębem naszej kontroli", a dalej dodaje: „Nie pracujmy koło organizacyi rządowej, nam nieprzyjaznej, ale weźmy cały ciężar na siebie, własnemi siłami stwórzmy nową organizacyę, a będziemy mieli prawo jej przewodniczyć i zachować wpływ na nią" (tamże).

Takiego też przeświadczenia był i ks. Adam Czartoryski, który „nie żądał od rządu rosyjskiego niczego więcej, tylko żeby obywatelom wolno było własnemi siłami ponosić te koszta, które są potrzebne do zaprowadzenia nowego systemu edukacyi" (tamże).

Taki testament zostawili nam najlepsi kierownicy naszego szkolnictwa w pierwszych chwilach politycznej niewoli. Mieli bowiem jeszcze niezatruty instynkt narodowy, który kazał im dążyć do tego, by szkoły były jak najmniej zależne od wroga, a więc by jak najmniej korzystały z pomocy materyalnej jego, albowiem za pomocą i za łaską pańską idzie wpływ, który będzie dla nas zawsze szkodliwy.

Nieszczęściem narodu jest, gdy szkoły jego są w rękach obcych, ale przekleństwem jego będzie, gdy sprawy wychowania przechodzą do rąk wroga.

Takiego przekonania byliśmy i my wszyscy, gdy po 40-letniej przeszło męce w szkole rusyfikacyjnej nastała chwila wolniejszego wypowiadania się na rolę i wpływ szkoły rządowej. Wówczas nie było pisma, nie było człowieka, któryby nie głosił jak demoralizowała, paczyła młodzież owa szkoła, jak ona nas deprawowała. Myśmy w niej tak osłabli duchowo, że gdy nastały chwile po temu, myśmy nie mieli dość odwagi, by brać to, co było najpilniejsze. Trzeba było przykładu dzieci, by nas uzbroić w pewną wiarę i energię czynu.

Szkołę swojską zdobyliśmy, ale z praw wyzutą. W pierwszej chwili nie dbaliśmy o prawa, nie szło nam o nic w niej praktycznego, bo wrócono naszej szkole to, co było dla nas najdroższego: język ojczysty. Z czasem jednak przyszła rozwaga, a właściwie pod pokrywką rozwagi żal za utraconemi łaskami, obawa przed trudami zdobycia pewnych koniecznych praw na drodze bardziej godziwej dla Polaka, niż za cenę zaprzedania języka ojczystego i potrzeb narodowych ducha. A przecież wyraźnie dzieje nas uczą: „iż każdy ruch duchowy żyje ofiarami i trudem uczestników, a nie natychmiastowemi korzyściami materyalnemi, które im może zapewnić" (Szczepanowski).

To też w nienormalnym, a nawet niewłaściwym stosunku stanęła większość społeczeństwa względem szkoły swojskiej.

Są tacy, którzy ją uważają tylko za malum necessarium, za zło konieczne. Szkoły rządowe nie są w stanie pomieścić całej gromady młodzieży, więc niech sobie będą szkoły prywatne polskie dla „wydziedziczonych", to jest tych, którzy nie mieli szczęścia dostać się do szkół właściwych, uprzywilejowanych. Inni uważają szkoły polskie za pewną ambicyę narodową. Przecież wypada, żebyśmy mieli szkoły polskie, ale niech z nich korzystają zamożniejsi, co mają na zbytek, bo szkołą praktyczną, prawdziwie życiowo coś wartą, jest dopiero szkoła rządowa. Stąd naturalnie wypływa zobojętnienie na sprawy rozwoju i bytu szkoły polskiej oraz lekceważenie jej wyraźne, tem dziwniejsze, że zjawia się u ludzi wysoko kulturalnie postawionych, którzy pozornie popierają nawet te swojskie instytucye. Są bowiem ludzie, którzy posyłają dzieci swe do szkoły polskiej, płacą „wysokie" wpisy dość skrupulatnie, biorą udział czynny w koncertach, balach i t. p. organizacyach na rzecz szkół polskich, ale na tej formalnej stronie kończy się ich stosunek, gdyż poza tem na każdym kroku występuje lekceważenie tej kulturalnej placówki. Chłopiec w domu przygotowuje się do egzaminów rządowych, a przez to naturalnie nie może traktować poważnie pracy szkolnej. W końcu roku staje do egzaminu rządowego, a dla odczepnego czasami zjawia się do szkoły polskiej, bo ta jest tylko rozrywką, a prawdziwy obowiązek jest względem szkoły rządowej. Byli i tacy, jak np. dr. J. Neumark z Włocławka, który ogłosił w „Gazecie Kujawskiej" z dn. 30 września 1911 r. co następuje: „Dziś Polacy sami sobie zadają rany w postaci szkół polskich, zapatrzeni w daleko, zbyt daleko może idące ideały polityczne.... nastrojeni fajerwerkowo.... całą siłą swej specyficznej nieświadomości pędzą w mury szkolne polskie, nie troszcząc się zgoła o nic, nie troszcząc się o prawa, o system wykładowy, o dyscyplinę i karność — jedynie byleby odruchowi patryotycznemu stało się zadość". Na takie motywy jest jedna i krótka odpowiedź, jaką mianowicie między innemi dał p. A. Pawłowski w „Dzienniku Kujawskim" z października r. 1911.: „Rzecz jasna, że łatwiej dziś zwalczać szkołę polską, niż kopię kruszyć w jej obronie. I łatwiej, i wygodniej, i... bezpieczniej. Ale taka walka to nie spłata długu narodowego". Więc były i takie poglądy, które może nie głośno, ale w cichości ducha wielu nazwie „trzeźwem" zapatrywaniem się na sprawy. Podobnież trzeźwy pogląd wyłonił się w naszem społeczeństwie na nauczanie elementarne. Rozumowanie jest nad wyraz proste a logiczne. W społeczeństwie naszem analfabetyzm jest zastraszający. Rząd obiecuje zapomogi do wysokości prawie połowy kosztów potrzebnych na budowę i utrzymanie szkół elementarnych tym, którzy je mieć pragną. Cóż może być bardziej rozumnego jak agitować, by gminy o takie szkoły się starały i o te zapomogi prosiły. Tak się wydaje napozór, ale zapominamy wbrew zaleceniom Czackiego, kto szkoły takie będzie organizował,

kto i czego w nich będzie nauczał, kto będzie tym krzewicielem kultury obcej w naszej wiosce i pośród ludu naszego.

Sprawa ta bardzo mi przypomina tego lekarza, który skonstatowawszy zupełnie prawidłowo chorobę, przepisał lekarstwo, mając na względzie tylko samą chorobę; nie myślał o chorym i chorobę leczył, ale organizm chorego zatruwał. Takie wypadki zaślepienia lekarza znane są zapewne nam wszystkim. Takie zaślepienie doradców „powszechnej“ oświaty jest na pewno rezultatem długoletnich wpływów szkoły rosyjskiej.

I jak dziwnie wyglądają rady powyższe do zakładania szkół gminnych pod kierunkiem rządu wobec głosu korespondenta „Zorzy“ niejakiego Józefa Niećko, który woła: „Dzisiaj czytać i pisać nauczyć się samemu, to nie jest zbyt wielką trudnością, trzeba jeno chcieć. Obowiązkiem świętym każdego Polaka jest wzbudzać w analfabecie żądzę samokształcenia i dawać mu pomoc i wskazówki. Niech w ciągu roku każdy z czytelników pism ludowych nauczy czytać i pisać tylko dwoje, którzy nie uczą się w szkole, a już w ciągu tego roku przybędzie krajowi naszemu dziesiątki tysięcy, z których wyrosną dzielni obywatele... Tem bardziej my Polacy winniśmy poczuwać się do tego, gdyż nie mamy dostatecznej ilości szkół dobrych, więc o ile w naszej mocy winniśmy sami radzić“. Sapienti sat!

A jednak jak zaraźliwe bywają rady szczególniej wobec ulg materyalnych przewidywanych. Wciąż gazety donoszą nam o uchwałach gminnych, dążących do zakładania szkół dla ludu rządowych, gdyż wtedy można mieć nadzieję na zapomogi skarbu. A myśl ta przechodzi i na miasta, szczególniej powiatowe. Mamy wiadomości z kilku miejscowości, gdzie mieszczanie zakładają progimnazya z prawami, a w innych miejscowościach mają zamiar przerobić szkoły polskie bez praw na szkoły z prawami, a więc z językiem wykładowym rosyjskim. I czemuż tu się dziwić? Jeżeli zaleca się gminom, by prosiły rząd o zakładanie szkół z językiem wykładowym rosyjskim zamiast polskiego, dlatego żeby dostać zapomogę rządową, to dlaczegóż mieszczanom ma być poczytane za złe zaprzedanie języka polskiego ze szkoły za prawa, jakie otrzymają ich dzieci.

Zresztą i u nas ludzie „trzeźwo“ myślący miewają bardziej narodowe poglądy, gdy idzie o stosunki szkolne w innych krajach. Znany jest przecież niedawny fakt ze stosunków węgiersko-słowackich. Gdy rząd węgierski uznał, że najłatwiejszą drogą do wynarodowienia jest szkoła ludowa, odpowiednio ją zorganizował i postarał się uszczęśliwić naród słowacki nowemi 100 szkołami państwowemi, dając w krajach madziarskich w tym samym czasie zaledwie kilkanaście szkół. To też „Slowenski Dennik“ nie waha się głosić, że rząd węgierski otwiera „sto nowych więzień dla dziatwy słowackiej“. Nasze dzienniki powtarzają takie głosy, my zupełnie szczerze ubolewamy nad dziatwą słowacką, ale jednocześnie sami nawołujemy, by lud polski wypraszał od rządu rosyjskiego takie same więzienia dla dzieci polskich.

I czemu się to dzieje? Oto nic mamy wiary we własne siły i we własną pracę, szczególniej, gdy ma być ona bardzo długą i bardzo ciężką, radzi chwytamy każdą okoliczność, która pozwoli część obowiązków z naszych ramion zrzucić. Tak mało jest ludzi mocno wierzących w potrzebę samoistnej narodowej kultury. Bardzo niewielu jest takich, co szkołę uważają za potrzebę, za istotny i właściwy pokarm, niezbędny dla narodu pragnącego żyć swojem życiem, a nie przykrojonem na wzór obcy. Tem dziwniejszą jest ta okoliczność, iż niemal każdy zgodzi się na zasadniczy dogmat pedagogiczny wedle którego, „pomyślne nauczanie może się odbywać tylko w języku ojczystym, oraz normalne zdrowe wychowanie młodzieży może być prowadzone tylko przez ludzi, należących do tego samego społeczeństwa, co młodzież“. („Przegląd Narodowy“, str. 257 r. 1911).

To wszystko prawda, powiadają ludzie „trzeźwo“ myślący, ale to jest teorya, a w życiu trzeba brać rzeczy praktycznie i korzystać z takich szkół, które dają prawa bez względu na to, jak i czego uczą, jak i z czego wyzuć mogą. Gorzej, bo są nawet ludzie, którzy twierdzą zupełnie szczerze, że nie nauka, lecz prawa chleb dają.

Nic więc dziwnego, że dla wielu szkoły polskie są pewnym ciężarem. Nie wypada z nich nie korzystać, a względy karyery przemawiają, by swe dążenia ku rządowym szkołom nawrócić. Stąd właśnie rozterka i niezadowolenie, stąd niechęć i pochopność do krytyki nieraz bardzo niedojrzałej, złośliwej lub nierozsądnej i nieobywatelskiej nawet.

Krytykować jest zawsze łatwo tem bardziej, gdy rzecz dotyczy instytucyi nowej i młodej. Wiemy przecież, w jak nienormalnych warunkach formowała się szkoła polska: bez dostatecznych środków materyalnych, bez sił kierowniczych, bez sił nauczycielskich wyrobionych. Znaleźć więc można łatwo wiele błędów, niedokładności, fałszywych kroków, wogóle braków.

Przeciwnicy szkoły polskiej twierdzą, iż jest ona bardzo droga, ale zapominają, że tylko opłaty wpisowe są w niej wyższe, niż w rządowych, a poza tem przygotowanie do niej jest mniej kosztowne, mniej czasu i nakładu potrzebuje niż do rządowej, więc do szkoły polskiej prędzej i w młodszym wieku dostają się dzieci, prędzej i łatwiej ją przechodzą przy takich samych co najmniej zdobyczach naukowych, więc krócej w niej przebywają w większych odsetkach w wieku młodszym ją kończą; (znam fakt, iż z liczby 106 uczniów, którzy byli w klasie 1-szej skończył 1 tylko gimnazyum w ciągu lat 8-iu, a 7-iu po latach 9, 10, 11-tu, jednem słowem ze 106 skończyło 8-iu); krytycy ci zapominają o tem, że nauka w szkole polskiej wymaga znacznie mniej środków pomocniczych ze strony „domu“ w rodzaju korepetycyi, a nieraz specyalnych dodatkowych lekcyi, które wiele, bardzo wiele kosztują. Biorąc to wszystko pod uwagę, wypadnie napewno dla chłopca przeciętnego szkoła polska tańszą od rządowej, nie tylko pod względem pieniężnym, lecz wogóle społecznie praktyczniejszą.

Mówią przeciwnicy szkoły polskiej, że niema w niej rygoru, karności, wogóle brak dy-

scypliny, która tak dobrze trzymała w karbach młodzież szkół rządowych, a zapominają, że owa karność i posłuch były formalnie utrzymywane przez groźbę i bat, że musiały wytwarzać w ofiarach poddanych tym czynnikom wychowawczym bardzo ujemne cechy charakteru: obłudę, kłamstwo, fałsz, a nawet donosicielstwo. Tymczasem szkoła polska dąży do wytworzenia ładu i porządku przez wpajanie i rozwijanie poczucia obowiązku i poczucia odpowiedzialności, przez uznanie potrzeby tego ładu niezbędnego w każdej organizacyi. I chyba każdy to zrozumie, że taka zmiana gruntowna środków wychowawczych musi powolne wydawać rezultaty, ale stokroć cenniejsze i trwalsze. A pomimo to, gdyby przeciętny pedagog z przed lat 10 zajrzał do dzisiejszej szkoły naszej, napewno nie mógłby wyjść z podziwu, jaką to cudowną drogą osiągnięto ten dzisiejszy już tylko ład i rygor, wyzbywając się całego szeregu i systemu kar, zapomocą których dawniej młodzież wychowywano.

Przeciwnicy szkoły polskiej twierdzą, że nauka w niej jest mniej gruntowna niż w szkołach rządowych, a nie chcą zrozumieć, że system nauczania w dawniejszej szkole miał na względzie głównie zdobycie pewnej ilości faktów, dzisiaj dążymy do poznawania i wskazywania dróg pracy samodzielnej. Metody te dają pozornie mniej wiadomości, ale zapewniają lepszy rozwój umysłowej sprawności.

Powiem więcej. Bardzo bystry obserwator możeby dojrzał pośród młodzieży pewne obniżenie się tu i ówdzie ideałów, pewne jeśli nie zobojętnienie, to osłabienie gorętszych objawów patryotyzmu. Może, ale i to jest psychologicznie zrozumiałe. W szkole rosyjskiej rozwijał się w pewnej części młodzieży gorący patryotyzm, graniczący często z szowinizmem narodowościowym przez nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie, a podsycany był nieustannie gnębieniem i prześladowaniem wszystkiego co polskie. Dzisiaj szkoła polska budzi patryotyzm przez poznanie tego, co nasze i rozmiłowanie ku temu, co było w dziejach naszych piękne, podniosłe i wielkie. Szkoła rosyjska dawała naszemu patryotyzmowi grunt w nienawiści. Szkoła polska będzie budziła patryotyzm miłości do wszystkiego, co dobre i piękne.

Że na tych drogach nowych nauczyciele nieraz błądzą to nic dziwnego, bo je sami wbrew szkolnej tradycyi naszej muszą w sobie wyrabiać i dla zasady zdobywać. „Es irrt der Mensch, so lang er strebt“ powiedział Goethe. Ale w ten sposób powoli tworzymy rodzimą warstwę nauczycielską i budujemy swojską szkołę.

A dzięki posiadaniu szkoły polskiej będziemy mieli możność „wychowywania nowych pokoleń, których wykształcenie będzie zupełne, które zdobędą najniezbędniejsze jego pierwiastki, mianowicie gruntowną wiedzę w zakresie języka ojczystego i niepowierzchowną znajomość umysłowości własnego narodu w jej historycznym rozwoju, znajomość historyi piśmiennictwa polskiego („Przegląd Narodowy“, marzec 1911 „Wykształcenie polskie“). „Szkoła polska daje możność dopięcia tego, by wychowane przez nią pokolenia posiadały duszę polską i oblicze polskie. Duszę polską, to jest duszę pozostającą w świadomym kontakcie z dorobkiem duchowym wszystkich poprzednich pokoleń narodu polskiego, oblicze polskie t. j. wszystkie zewnętrzne środki do skutecznego i wytwornego ujawnienia w każdej potrzebie swej duszy polskiej“. („Dziennik Kujawski“ z 17 października 1911). Trudno nie zgodzić się z tem, że bez takiej duszy i bez takiego oblicza Polak jest zawsze kaleką, choć może być niezłym specyalistą.

„Nie wszyscy rozumieją jednak wartość duchową szkoły, a chcą dyplomów i praw. A tymczasem zapominają, że dyplomy z prawami często nie dają się realizować, jak weksle niepłatne“.

Ze wszystkimi swymi brakami w danej chwili szkoła polska jest już dziś dla społeczeństwa wdzięcznym terenem pracy planowej i sięgającej w przyszłość, pracy, która dawniej była mu zupełnie odjęta. Gdyśmy taki teren pracy bardziej samodzielnej zdobyli, to wszystkie możliwe czynniki winny się zjednoczyć ku jego uprawie. Tam bowiem tylko będziemy tworzyli pierwiastki rodzimej kultury, gdzie pracę sami organizować będziemy, lecz nie tam, gdzie drogi i kierunki wskazywać nam będzie wróg naszej samoistności i odrębności.

A gdy nie mamy ochoty do czynnej i racyonalnej pracy na terenie szkoły polskiej, to przynajmniej nie nastawajmy na godność jej i nie podkopujmy jej bytu, nie hamujmy rozwoju przez powierzchowne, a częstokroć na tendencyjnych plotkach i obmowach oparte opinie, które szkodzić mogą, a nigdy pożytku nie przysparzają.

Tak! nienormalny jest stosunek własnego społeczeństwa do szkoły polskiej. Zamiast wiary w konieczność, w potrzebę jej istnienia — występuje tylko jej tolerowanie; zamiast zainteresowania się — obojętne jej traktowanie, przechodzące często w lekceważenie wyraźne; zamiast chęci poznania i badania jej bytu — krytyka najczęściej powierzchowna; zamiast zjednoczenia sił ku jej podniesieniu i rozwojowi — wyszukiwanie czynników usprawiedliwiających do pozbycia się jej, jako nie praktycznej, bo praw nie dającej.

A przecież gdzieindziej na świecie społeczeństwo inaczej opiekuje się szkołami. Wyszukuje i posiada rozmaite czynniki, tworzy instytucye, by pomagać szkołom. Na przykład w Ameryce powstały organizacye („Wychowanie w domu i szkole“ str. 400 r. 1913 t. II.), których członkowie stawiają sobie, jako cel osobiste opiekowanie się w roli starszych braci małymi chłopcami i pomaganie im. Ciekawe są niektóre punkty regulaminu takich instytucyi: „Chłopca, którym się opiekujesz, odwiedź w jego mieszkaniu; poznaj się z jego rodzicami, staraj się pomódz im i jemu w ich pracy; wsparcie pieniężne dawaj tylko w ostatecznym wypadku; przedstaw go swemu lekarzowi; zaproś go do swego domu i przyjmij serdecznie; nie praw mu kazań i t. d. „Powstały już takie towarzystwa „Starszych Braci“ i „Starszych Sióstr“. Prócz tego powstają stowarzyszenia osób dbałych o stworzenie normalnych warunków pracy dla szkoły. Członkowie ich odwiedzają szkoły, gdzie otrzymują

adresy uczniów, których sprawowanie lub postępy w nauce budzą niezadowolenie nauczycieli, udają się następnie do mieszkania uczniów, rozmawiają z rodzicami, starając się poznać przyczynę złego i usunąć ją. Oto tak pracuje społeczeństwo w szkole i to takie społeczeństwo, które miałoby najwięcej danych, by pracę tę na barki rządu, czy nauczycieli włożyć, bo to społeczeństwo uważa szkołę za instytucyę swoją i za zbyt ważną, by swego współudziału we wpływach i pracy wyzbyć się.

U nas inaczej sprawy stoją. Współudział społeczeństwa tymczasem jest niemal wyłącznie oparty na dostarczaniu szkole środków materyalnych. I może niewiele przesadzę, gdy powiem „odczepnego“, lub „dla honoru“, ale bardzo rzadko z uznania potrzeby i konieczności istnienia tej instytucyi.

Zresztą poszukajmy faktów. W Królestwie Polskiem w 41 miejscowościach jest 170 zakładów naukowych męskich i żeńskich, o zakresie szkoły średniej z pełną ilością klas, lub z 4-ma, 5-ma klasami z językiem wykładowym polskim, a więc prywatnych. Mówimy tu naturalnie o szkołach ogólno-kształcących, a do takich zaliczamy i szkoły tak zwane handlowe. W liczbie tej są i szkoły utrzymywane przez instytucye lub grupy społeczne oraz przez osoby pojedyńcze. Stosunek jednych do drugich, oraz żeńskich i męskich jest bardzo nienormalny.

Szkoły	Męskie	Żeńskie	Ogółem
Społeczne	38	9	47
Prywatne	19	102	121
Ogółem	57	111	168

Więc na 170 prawie szkół z językiem wykładowym polskim zaledwie [plus minus] $^1/_4$ utrzymywana jest kosztem grup społecznych, a $^3/_4$ prawie pozostawione są zabiegom i powiedzmy otwarcie przedsiębiorczości osób pojedyńczych. W liczbie 47 szkół społecznych jest szereg szkół kupiectwa, znajdujących się w Warszawie, Łodzi, Będzinie, Zgierzu, Pabjanicach, gdzie od lat kilkunastu wprowadzono podatek szkolny, wynoszący rb. 75 dla osób opłacających I-szą gildyę, a 25 rb. dla osób gildyi II-ej, jeszcze w czasach tych, gdy szkoły miały prawa przeważnie. Powiedzą mi na to, że właściwie wszystkie prywatne szkoły utrzymuje społeczeństwo, bo opłacając wpisy wysokie, pozwala im egzystować. Tak, ale trzeba sobie uprzytomnić, ile energii, zaparcia się muszą wkładać w tę sprawę członkowie towarzystw pomocy dla młodzieży, lub przełożeni, by wyżebrać formalnie zapomocą balów, koncertów i innych widowisk potrzebne środki na pokrycie wpisów, nie popłaconych lub częściowo tylko uiszczonych.

Wobec tego szkoły są właściwie bez trwałych materyalnych podstaw, nie zabezpieczają przeto pracownikom przyszłości zupełnie i niezupełnie teraźniejszość. To też można zapisać na karb zupełnej ignorancyi stosunków, lub złej woli opinie tych panów, którzy, chcąc obrzydzić szkołę polską społeczeństwu, a pchnąć młodzież do szkoły rządowej, twierdzą, iż tylko nauczyciele głosują za utrzymaniem szkoły polskiej, gdyż idzie im o własną kieszeń; a my dodamy: ci nauczyciele, którzy w szkole polskiej żyją bez jutra, a w szkole z prawami mieliby i wyższą normę płacy i emeryturę. Są ludzie i to w gronie poważnej inteligencyi, którzy takich motywów używają w walce przeciw szkole polskiej.

A więc w większości wypadków pomoc materyalna społeczeństwa sprowadza się do doraźnych datków ludzi karotowanych, a rzadko kiedy widać w tej mierze akcyę poważną, trwałą, zabezpieczającą byt szkole, tak n. p., jak to zrobili pp. Wawelberg i Rotwand, rodzina Szlenkierów, Roesslerowa i t. d.

„A tymczasem ofiarność na cele takiej właśnie szkoły poczytywana być może jako powszechnie obowiązująca powinność obywatelska, a posyłanie do niej dzieci jako akt narodowej samoobrony. Szkoła pozbawiona materyalnego i prawnego oparcia państwa tylko wtedy istnieć może, gdy posiada sankcyę moralną i podporę materyalną w społeczeństwie“. („Sprawa szkolna w Królestwie Polskiem 1905“ — O. M. Bell).

I społeczeństwo dać je musi szkole polskiej. Musi je dać, jeżeli chce stwierdzić, że dla swych dzieci żąda wychowania polskiego, tego minimum, do którego ma prawo naród żywy.

Trzeba współczuć narodowi, któremu odebrano ze szkół język ojczysty przemocą, nie można jednak tracić nadziei, że umie on cenić wartość swojskiej kultury. Ale co powiedzieć o narodzie, który uzyskawszy prawa na tworzenie instytucyi swojskich pod postacią szkół z językiem wykładowym polskim, myśli o wyzbyciu się ich, przekładając nad nie szkoły rosyjskie dla względów natury wyłącznie materyalnej, dla wygody, dla karyery. Naród ten zdradza dążność do zagłady cech swoistych, nie doceniając pierwiastków narodowych w rozwoju swym kulturalnym. Zapomina o tej maksymie „że w historyi świata te tylko plemiona żyją, które mają coś własnego do powiedzenia“. (Szczepanowski). O przyszłości jego zwątpić będzie można i z bólem rozważać myśli, że to nie ten wielki naród, który padł chwilowo, by dźwignąć się z upadku mocniejszym jeszcze, lecz ten w niewoli znikczemniały, który zniszczeć ma losem przepisane. Jeżeli bowiem tragedyą i przekleństwem narodu jest fakt, że wróg mu szkoły organizuje, toć wyraźnem samobójstwem narodowem musimy nazwać zjawisko wyzbywania się zdobyczy swojskich kulturalnych i wypraszanie od rządu, by nam instytucye wychowawczo-naukowe tworzył.

Warszawa. *S.*

Wiadomości polityczne.

Ś. p. Adam Gołuchowski.

D. 15. kwietnia zmarł nagle Marszałek kraju Adam Gołuchowski. Jako syn Agenora Gołuchowskiego, głównego twórcy polityki, która wprowadziła w kraju polskie rządy, a brat młodszy Agenora b. ministra spraw wewnętrznych, miał ś. p. Adam, urodzony w r. 1855 we Lwowie, duże tradycye polityczne w rodzinie. Był posłem parlamentarnym z gmin wiejskich okręgu Husiatyńskiego od r. 1885—97, 1900—7, 1911—12, a posłem sejmowym z większej własności obwodu Czortkowskiego od r. 1895. Gdy po r. 1900 zaczęły się tworzyć or-

ganizacye narodowe na wschodzie, ś. p. Adam Gołuchowski gorliwie zajął się tą pracą nad ludem polskim. W pracy sejmowej odznaczał się znajomością spraw skarbowych i zdrowotnych oraz administracyi powiatowej jako marszałek powiatu Husiatyńskiego. Po wyborach parlamentarnych w r. 1911 należał do czterech posłów z grupy konserwatywnej, którzy wstrzymali się od wyrażenia przez Koło Polskie zaufania namiestnikowi Bobrzyńskiemu, chociaż naogół nie występował nigdy ostro przeciw niemu. D. 14 czerwca 1912, po ustąpieniu Stanisława Badeniego, został mianowany przez cesarza Marszałkiem kraju. Przyjmując te obowiązki w bardzo ciężkiej chwili dał dowód ogromnego poświęcenia i wysokiego poczucia służby obywatelskiej. Kraj patrzył na tego prawego obywatela z szacunkiem i zaufaniem i zachowa go we wdzięcznej pamięci.

Sprawa zwołania Sejmu.

Przed Świętami wielkanocnemi wszystkie dzienniki polskie doniosły, że sesyi sejmowej nie będzie, bo Rusini jej nie chcą, powołując się przy tem na artykuły „Diła“ w tym duchu pisane.

Zdaje nam się, że tak źle jeszcze u nas nie jest, aby w rachubę wchodziło tylko to, czego chcą Rusini.

Trzeba przypomnieć jak sprawa stała w chwili, gdy Sejm odroczono. W czasie sesyi wyjechał p. Namiestnik do Wiednia. Stamtąd przywiózł wiadomość, że Rada Państwa będzie zwołana na 5-ty marca, czyli wcześniej niż przypuszczano. Zarazem jednak zapewnił, że Sejm będzie zwołany po Świętach ponownie, jeśli sprawy krajowe będą tego wymagały. To zobowiązanie rządu z ust p. Namiestnika usłyszeli przedstawiciele wszystkich stronnictw.

Jeżeli obecnie stronnictwa polskie oświadczą, że sesya Sejmu przed nowymi wyborami jest potrzebna, to będzie ona zwołana, bo przecież p. Namiestnik nie dopuści, aby rząd nie dotrzymał tego, co za jego pośrednictwem powiedział. Stronnictwo ruskie również musi być pytane o zdanie. Ale nie znaczy to, aby, gdy Polacy mówią: tak, a Rusini mówią: nie, miało się stać zadość życzeniu ruskiej mniejszości, a nie ogromnej większości polskiej.

Stronnictwa polskie dotąd nie zebrały się i nie objawiły swego zdania. Może nie uważają one sesyi za konieczną wobec załatwienia najważniejszych spraw, a może uważają ją za konieczną. W każdym razie sprawę tę należy załatwić i nie zostawiać kraju pod wrażeniem, że zależy ona od widzimisię ruskiego.

Przewidywane skutki „sieci szkolnej“.

Zwolennicy, rządowego nauczania powszechnego, propagując swój projekt liczą pewnie na zdrowy polski rdzeń chłopa, którego nie tknie obcy wpływ aż tak do żywa, by się wsączyć w krew i w ducha. Liczą na to, na owo, ale równocześnie nie mogą nie przewidywać, że wzmocni się u nas żywioł niepotrzebny i oparłszy się o nową szkołę sięgnie do piersi ludu, do serca jego chciwie szpony wytęży.

Dzieje się to już dziś coraz częściej. O uroczystościach urządzanych w czasie świąt Bożego Narodzenia, t. zw. jołkach *Rzeczpospolita* już pisała. Ale zdawało się, że ów na pruskiej szkole wzorowany pomysł stosowany był siłami jedynie nauczycieli rosyjskich. Tymczasem czytamy w „Chołmskich Gub. Wiedomostiach“ w korespondencyi z Białej Radziwiłłowskiej: „Jołka“ z wszystkimi podarunkami nie mogła być, naturalnie, urządzona li tylko na koszt Komitetu Trzeźwości. Z pomocą przyszli obywatele miejscowi, którzy dobrowolnie łaskawemi ofiarami pokryli niedobór. Jacy obywatele! Przeważnie Polacy. I nie jest to poszczególny wypadek. Bo przecież niedawno „Ziemia Lubelska“ (Nr. 23) zamieściła listę osób, firm handlowych i zakładów przemysłowych, które złożyły składki dobrowolne na choinkę dla dzieci pod opieką ochronki rosyjskiej w Lublinie i w spisie tym więcej niż połowę stanowią nazwiska polskie. Albo znowu fakt inny. W Kole, jak donosi „Gazeta Kaliska“, odbyło się poświęcenie pierwszej szkoły początkowej. Poświęcenia dokonał pop prawosławny. W Płockiem do nowych szkół początkowych utworzonych w „sieci szkolnej“ powołano na nauczycieli i nauczycielki — Moskali.

Te i tym podobne wypadki świadczą chyba wymownie, że stajemy przed poważnem naprawdę niebezpieczeństwem. Nie może być tu mowy o tem, czy można czy nie można zrusyfikować chłopa polskiego. Nie oto tu chodzi. Ale rodzą się obawy a nawet z doświadczenia płynące przewidywania, że ta szkoła ludowa, którą chłop sam sobie zakłada do spółki z rządem, w której usadowi się często nauczyciel Moskal i w której stale odrywać się będzie dziatwę wiejską od pnia macierzystego, że taka szkoła nie stanie się wrotami do światła, jak to jej twórcy sobie wyobrażają, ale wrotami od których wiodą dwie drogi. Jedna, która doprowadzi niechybnie do nowej Wrześni; druga, przed którą wszystkiemi siłami bronić się nam należy a która zaprowadzić może chłopa polskiego precz od walk, cierpień i nadziei narodowych. Położy się między narodem a ludem moc cudza, przegroda ciężka i byle jaką pracą nie zdołamy odwalić jej w przyszłości. Mieliśmy już uwłaszczenie w r. 1864 i wiemy jakie skutki ono miało przez dziesiątki lat w duszach chłopskich. Nowych doświadczeń in anima vili czynić nie wolno.

O szyldy polskie na Litwie i Rusi.

W miastach i miasteczkach litewsko-ruskich, władze policyjne wszczęły wojnę z napisami polskimi na szyldach sklepowych, na blankietach, kopertach, torebkach i nawet na rachunkach hotelowych. Pierwsze hasło dał w r. z. gubernator w Mińsku Litewskim. Szykany stosowane tam do kupców polskich odbiły się echem w Dumie, gdzie posłowie polscy wnieśli interpelacyę do ministra spraw wewnętrznych, wykazując brak podstaw prawnych w postępowaniu gubernatora. Interpelacya była pilna, t. zw. terminowa, ale dotychczas spoczywa niezałatwiona w kancelaryi Dumy. Skutku pożądanego nie tylko nie odniosła, ale wręcz przeciwnie była pouczeniem, jak należy sobie postępować z szyldami polskimi. To też za przykładem gubernatora mińskiego wnet poszedł policmajster chełmski. Ostatnio zaś w całym szeregu miast

na Litwie i Rusi wystąpiła policya z analogicznemi żądaniami, nie wszędzie trafiając na opór, ufna w potęgę i niezaskarżalność policyjnej „powiestki“. Jesteśmy zatem świadkami akcyi, która ma źródło już nie tylko w gorliwości rusyfikatorskiej pojedyńczych kacyków prowincyonalnych, ale jest kierowana jedną ręką z jedną myślą wytępienia języka polskiego z zewnętrznego wyglądu tych miast. Jest to nowy powrót do starych prób „przywracania“ miastom tym charakteru „iskoni russkiego“.

I chociaż w państwie rosyjskiem jest rzeczą powszednią, że mimo „konstytucyi“, całemi dzielnicami rządzi widzimisię jakiegoś gubernatora, niemniej jednak w tej sprawie zachodzi pytanie, jakiem prawem się to dzieje. Bo przecież nawet w Rosyi, o ile możliwa jest samowola władz miejscowych, to nie do pomyślenia jest rządzenie się prawem kaduka całej dykasteryi władz centralnych, a tu wątpliwości nie ulega, iż sprężyną tej nagonki na szyldy polskie jest sam pan minister spraw wewnętrznych Makłakow. Polskie rządy w miastach „rosyjskich“ na Litwie dawno mu już spać nie dają.

A strona prawna tej sprawy przedstawia się rzeczywiście tak, iż policya postępuje najzupełniej bezprawnie. Do r. 1863 żadnych przepisów dotyczących szyldów sklepowych nie było, to też zarówno w Królestwie jak na Litwie żadnych przeszkód napisom polskim nie stawiano. Dopiero po powstaniu Murawjew wydał okólnik, w którym bezwzględnie usunął język polski z szyldów, za jego przykładem poszedł któryś z gen.-gubernatorów kijowskich, a także w Królestwie wydano przepisy, nakazujące umieszczanie obok polskich także i w tychże rozmiarach napisy rosyjskie. Ograniczenia te obowiązywały do chwili wydania ukazu carskiego z 25 grudnia 1904, który wszelkie ograniczenia językowe znosił, a którego uzupełnieniem była najw. zatwierdzona uchwała komitetu ministrów z d. 14 maja 1905, która do dziś dnia obowiązuje i brzmi jak następuje:

„Polecić ministrom i głównym naczelnikom wydziałów bezzwłocznie i nie póżniej, niż w 6 miesięcy od dnia zatwierdzenia niniejszej decyzyi: 1) wydać polecenie zniesienia rozporządzeń administracyjnych, ograniczających używanie języków miejscowych w Kraju Zachodnim, a nie opartych bezpośrednio na prawie i 2) jeżeli w liczbie tych administracyjnych rozporządzeń znajdą się takie, które i nadal dla utrzymania porządku państwowego uznane zostaną za niezbędne, prosić za pośrednictwem Rady państwa o Najwyższe zatwierdzenie tych rozporządzeń“.

W wykonaniu tej uchwały przed upływem 6 miesięcy uznano za niezbędne prosić o najw. zatwierdzenie ograniczenia języka polskiego jedynie w zebraniach i biurowości instytucyi prywatnych w 8 guberniach Litwy i Rusi, z wyłączeniem gub. Kowieńskiej, co też zatwierdzone zostało. Żadnych innych ograniczeń natomiast nie uchwalono, żadnych praw w tym względzie nie było, a rozporządzenia murawjewowskie zostały przytoczoną uchwałą z r. 1905 zniesione. Nowych rozporządzeń gubernatorowie wydać nie mieli prawa, co też obszernie wyjaśnia orzeczenie Senatu (wyrok nr. 24 z 15 listopada 1908), że postanowienia obowiązujące, wydawane przez gubernatorów „mogą dotyczyć całego szeregu określonych jednakowej natury wypadków, lub być przeznaczonemi dla uprzedzenia i powstrzymania takiego lub innego sposobu naruszenia praw gwarantujących porządek powszechny, ale w żadnym wypadku nie mogą sprzeciwiać się istniejącym prawom i ustawom karnym („Ułożenije o nakazanjach“ i „Ustaw o nakazanjach“) stosowanym przez sędziów pokoju, jak również i postanowieniom wyższych władz państwowych i instytucyi“. We wspomnianem „Ułożenji o nakazanjach“ jest jeden tylko § 34, który nakazuje poddawać cenzurze policyjnej ogłoszenia, a więc można przypuścić, że i szyldy, ale tylko należące „do rzędu tych, jakich wogóle publikować nie można“ (orzeczenie Senatu z r. 1872 nr. 16). A zatem i żądanie cenzury szyldów zwykłych sklepów jest także bezprawiem. Okazuje się więc, że cała akcya podstaw prawnych nie ma żadnych i gdyby żądaniom policyi stawiono opór, „reforma“ p. Makłakowa musiałaby skończyć się jego przegraną.

Należy więc ze strony polskiej energicznie wezwać do oporu. Zakazy panów policmajstrów, sprawników et tutti quanti należy zaskarżać do gubernatora, jego zaś orzeczenia do I departamentu Senatu. Są zaś precedensy spraw analogicznych w Senacie wygranych jak n. p. fabryki Ćmielów w Mińsku, składu drzewa Prószyńskiego, redakcyi „Kuryera Litewskiego“ itd. Obowiązkiem zaś Koła Polskiego jest tę sprawę wyświetlić w Petersburgu i przeprowadzić przynajmniej tę jedną sprawę, która żadnym dwuznacznym interpretacyom prawnym ulegać nie może. Zamiary p. Makłakowa muszą spalić na panewce.

Człowiek i patent.

W lutym b. r. ogłosił wybitny publicysta p. Antoni Chołoniewski artykuł o młodym urzędniku krakowskiego Towarzystwa Rolniczego, p. St. Jasińskim, którego pracę w zakresie kooperatywy wiejskiej zestawiał bardzo, ale to bardzo przesadnie z działalnością ks. Wawrzyniaka.

Podobno ogłoszenie artykułu przyczyniło się do tego, że ludzie, którzy wiedzieli to i owo o p. Jasińskim, donieśli o tem policyi, która zaczęła śledztwo. Wykazano, że p. Jasiński nieprawnie używał tytułu doktora i jakichś tam orderów, oraz, że miał jakieś przejścia w życiu prywatnem. Dzienniki dodały do tego lekkomyślnie i cięższe zarzuty, które nie były słuszne, a bardzo krzywdzące.

Obecnie ogłasza p. Chołoniewski również w „Świecie“ drugi artykuł p. t. „Człowiek i Patent“, w którym, stwierdziwszy, że patent był sfałszowany, pisze:

„Co myślicie? Podrobiony był papierowy dokument. Wiedza i zasługa były prawdziwe. Gdyby nie było tego świstka papieru, nie istniałyby dziesiątki użytecznych instytucyi, pod osłoną jego stworzonych. Czy zawinił tylko człowiek, który ten świstek papieru sfałszował, czy także społeczeństwo, które w pewnych dziedzinach życia nie pozwala wydobyć się na powierzchnię talentom — nieopatentowanym? Czy St. Jasiński nie nabył przez zasługę i pracę

patentu cenniejszego i autentyczniejszego niż ten, którego pożąda od niego ustalony porządek rzeczy? Czy nie jest on rzeczywistym doktorem nauk społecznych, doktoryzowanym przez czyn? I czy społeczeństwo powinno pozwolić mu pracować dalej, czy też ma cisnąć go poza swój nawias z całym zasobem niezużytej energii i niezużytkowanych jeszcze zdolności? Co myślicie?"

Myślimy, że kto jest zdolny do podrabiania patentów, ten jest trochę za zdolny, myślimy, że wprowadzanie nieładu w te pojęcia jest szkodliwe, myślimy wreszcie, że gdy pytanie takie rzuca bardzo poważny publicysta, trzeba swe zdanie odmienne i nawet duże zdziwienie jasno wypowiedzieć.

Książki, broszury, wydawnictwa.

Program szkół wojskowych Związków strzeleckich (Kraków 1913, 8 str. 46).

Obejmuje niższą szkołę wojskową, szkołę podoficerską, oficerską i podchorążych. Pierwsza dostosowana jest do warunków i potrzeb ludowych organizacyi militarnych, a zatem szczupłymi rozporządzających środkami. Przedmioty ogólno kształcące oraz praca wychowawczo-ideowa postawione są równorzędnie z kształceniem techniczno fachowem. Nauka odbywa się albo praktycznie albo w formie pogadanki. Rzeczą niezmiernej doniosłości byłoby na tym stopniu liczyć się z uczuciami religijnemi naszego ludu, które wszak są jedną z głównych jego sił duchowych. — Wykształcenie na podoficera trwa rok i podzielone jest na dwa kursy. Na pierwszym zapoznaje się ze służbą wewnętrzną, użyciem broni palnej, odczytywaniem map i ćwiczeniami w polu, na drugim z organizacyą wojska rosyjskiego, terenoznastwem, taktyką i musztrą. — Także przygotowanie do oficerskiego stopnia odbywa się na dwu kursach, półtorarocznym i nieograniczonym. Niektóre działy obracają się w zakresie niestety prawie że samej teoryi, więc nie tylko taktyka artyleryi, ale i kawaleryi, a już oczywiście działania trzech broni. Może i bezcelowem a raczej nie dość owocnem jest obracanie w tym kierunku energii. Na innej drodze zapewni się kiedyś pozyskanie ludzi z fachowem przygotowaniem w tych rodzajach technicznych wiadomości. Lepiejby może ograniczyć się co do zakresu usiłowań i nie rozstrzelać uwagi.

Strzelec, miesięcznik, pismo polskich Związków strzeleckich. Rok I, zeszyt I, za kwiecień 1914 r. Lwów, 8 str. 32.

Powstanie pisma wyjaśniono w dziale „spraw organizacyjnych". Według rozkazu z 4. marca b. r. ma zawierać artykuły treści ideowej i historycznej, programowe i krytyczne tyczące się prac Związków, omawiające wszystkie zagadnienia ruchu strzeleckiego i wychowania wojskowego młodzieży, informacye o innych organizacyach, szkice z różnych dziedzin wiedzy wojskowej, zadania aplikacyjne, wiadomości o postępach sztuki wojskowej i z zakresu geografii wojskowej ziem polskich, recenzye, sprawozdania i wskazówki bibliograficzne, kronikę, wolne głosy czytelników i felieton. — Tak załatwioną została kwestya bardzo trudna, ale też jedynie w ramach organizacyjnych, zaś w stopniu niezmiernie szczupłym i ułamkowym w stosunku do jej całości. Żaden rozkaz żadnej organizacyi wiele tu zdziałać nie może. Fachowe, poważne czasopismo mogliby stworzyć tylko wojskowi Polacy, którzy byli albo są w służbie armii regularnych. To jest do zrobienia, chociaż niewielu z nich dzisiaj oprócz nazwiska o rodzimem brzmieniu nosi i serce polskie. Trzeba do tego także t. zw. odwagi cywilnej i nawet wysokiej próby, przynajmniej u wydawcy, wobec którego jeneralicya austryacka zastosowałaby różne rygory, bo tam naprawdę uznane są tylko dwie narodowości, niemiecka i węgierska. W obecnych swych założeniach wydawnictwo ma charakter wybitnie popularyzatorski i tak jedynie należy je oceniać. — Zeszyt poświęcono pamięci Najwyższego Naczelnika w 120-stą rocznicę insurekcyi. Więc wstępny artykuł mówi o Kościuszce jako organizatorze. Mówi z pietyzmem winnym postaci wielkiego obywatela, ale bez wniknięcia szczegółowego w błędy poczynań powstańczych. P. Józef Piłsudski zaczyna pogadanki „Z wojny bałkańskiej". Dalej zaznaczono niedostatki i braki w nauce strzelania w Zw. strzeleckich; wszelkie właściwe ćwiczenia polowe z bronią są wzbronione a na skutek tego niepodobna osiągnąć pełniejszego wykształcenia. Następuje I część artykułu St. Białobrzeskiego „o pospiesznem niszczeniu żelaznych mostów kolejowych", zadanie aplikacyjne, streszczenie krytycznych uwag francuskiego jenerała o wartości przymierza z Rosyą, sprawozdania, kronika, wreszcie korespondencya ze Lwowa o obchodzie styczniowym. W tej ostatniej opacznie przedstawiony jest stosunek do „Sokoła"; jego „wielce dwuznaczne milczenie w kwestyi niepodległości" i skłanianie się jego drużyn stałych ku ideologii Związków i Drużyn strzeleckich.. Otóż rzecz ma się wprost na odwrót. Można „Sokół" winić o zbyt małą sprawność wojskową, o zgoła niedostateczne zrozumienie naglących, najwyższych potrzeb chwili, lecz nie wolno mu zarzucać sprzeniewierzenia się najistotniejszym prawom jego bytu. Nie potrzebował legitymować się ze swoich uczuć narodowych. A że ludzie starsi byli rozsądniejsi w minionym okresie napięcia wojennego, to było całkiem naturalne. Rzecz w tem, by na przyszłość była młodość przy starości.

Wydawcy:
Dr. Adam Skałkowski i Dr. Stanisław Stroński.
Redaktor odpowiedzialny:
Dr. Mieczysław Skałkowski.

Redakcya i administracya: Lwów, ul. Asnyka 1, tel. 18—93, ekspedycya ul. Murarska 55.

Drukarnia Jakubowskiego i Sp. we Lwowie, Piekarska 11.